POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 13-go marca 1943r.*** — **Rok V. Nr. 10**

LEPSZE JUTRO

KU NOWEJ WOLNOŚCI

Nie trudna jest odpowiedź na pytanie o co walczymy w tej wojnie. O wolność. Kraju, rodziny, swoją własną, o wolność Europy, o prawo do swobodnego istnienia wszystkich ludzi. O wolność myśli, słowa, czynu, o wolność pracy pełnoprawnego obywatela niepodległego państwa. Tak odpowie każdy, odpowie tak napewno każdy Polak. Natomiast nie jest już tak łatwą odpowiedź na pytanie, o jaką formę wolności walczymy, o jaką Polskę, o jaki jej ustrój. Nie jest łatwo już dzisiaj nakreślić obraz Europy żyjącej w zgodzie, niesklóconej, Europy, której ta wojna ma za zadanie wyrwać kły mięsożerne i pazury, a w zamian za to dać nadzieję, możliwość, pewność spokojnego życia.

W kompleksie zagadnień produkcji wojennej, zużytkowania sił żywych i martwych do walki, zagadnień grubości pancerza czołga i szybkości samolotu, nie jest rzeczą łatwą myśleć o tym, jak meblować będziemy mieszkanie, które te czołgi i samoloty znowu dla nas odzyskają. A jednak trudność tego zagadnienia nie może wykluczać go z naszych myśli, nie powinna co więcej wykluczać go z naszych codziennych poczynań. Z nich przecież zrodzi się nasze przyszłe, pokojowe życie, z nich dopiero wyrosnąć może szczęście prześladowanych ludów, z nich wreszcie zakwitnąć prawdziwy, może długowieczny nawet kwiat pokoju na ziemi.

OD ROZPROSZENIA DO SKUPIENIA SIŁY

Stanęliśmy w owym, naszym Wrześniu, sami naprzeciw wroga. Przeszedł poprzez nas, jak przechodzi wiatr poprzez ściany szkockiego domku. Uczepieni kurczowo idei neutralności, osamotnieni i z góry skazani na zagładę, ginęli inni w następnym maju i czerwcu. Poprzez świat przeleciał skurcz trwogi śmiertelnej, poprzez mózgi polityków rozjaśnienie i rozpacz, że jest już za późno. Odzyskała sens stara, dawna zasada nierozpraszania sił, a raczej grupowania ich w jednym kierunku, zasada tak prosta i tak jasna, że trzeba było nieszczęścia niewoli dopiero, żeby ją wielu zauważyło. Na obronę było za późno. Nie jest jednak za późno na odbudowę. Ku niej przecież dążyć będziemy od pierwszej minuty zawieszenia broni.

Poczucie solidarności pomiędzy narodami, solidarności, którego dziś nie ma, ale które wychowanie polityczne może wyrobić — winno być podstawą powojennego świata, o ile ten świat chce żyć spokojnie. Typowym przykładem takiej solidarności narodowej była unia polsko-litewska. Unia obronna, z którą się łączy epoka jagiellońska, uważana za najwspanialszy okres historii Polski.

I oto w wojnie obecnej, a może raczej pod jej wpływem wracają myśli i koncepcje ku owej starej zasadzie, którą lapidarnie ujął Zagłoba: "kupą mościpanowie," którą wcześniej językiem pięknej, wzniosłej prostoty wyraziła polska mądrość polityczna: "wolni z wolnymi, równi z równymi." Myśl polityczna szukając rozwiązania znajduje — federację. Federację — t.j. związek — państw, bloków, federację z zadaniem stworzenia siły, która się potrafi obronić przeciw każdemu zamachowi, siły, z którą trzeba się będzie liczyć.

Na tej podstawie buduje się wizję przyszłego naszego domu. Ten dom to Europa Środkowa, w nim poszczególne mieszkania — to państwa. Różnica w stosunku do przeszłości ma polegać na tym, że będzie wspólna kuchnia, wspólnie opłacany stróż nocny i wspólne gospodarstwo. I to jeszcze, że do każdego pokoju mieć będzie dostęp każdy z mieszkańców owego domu. Dobro tego domu będzie wspólnym dobrem jego mieszkańców.

KONIECZNOŚĆ WYRZECZEŃ

Literatura na temat federacji w języku angielskim jest olbrzymia. Po polsku ukazały się dwa opracowania, które zasługują na uwagę, jako materiał pomocniczy do myślenia o tych sprawach.* Zarówno Szerer, jak i Poznański zgadzają się, że federacja jakąkolwiek formę by przybrała, prowadzi nieuchronnie do pewnego ograniczenia suwerenności państwowej. Pierwszy zgłasza zastrzeżenia co do możliwośc federacyjnych na najbliższą metę, właśnie z powodu tych jej następstw, podczas gdy drugi skłania się raczej ku konieczności ograniczeń praw państw na rzecz federacji, podkreślając, że federacja bynajmniej tej suwerenności nie przekreśli — dowód na to stanowi system kantonów szwajcarskich i ich szerokiej autonomii.

Co jest lepsze? Jak w tym wypadku wyglądałby interes Polski? Czy na tym nasza pozycja wygra, czy raczej przegrać musi?

Związanie się z innym organizmem państwowym pociąga za sobą konieczne wyrzeczenia. Idea federacji stała się popularna nagle, pochopnie, nieprzemyślanie. Stała się symbolem przyszłej ochrony przed przyszłym napadem. Stała się symbolem bezpieczeństwa narodowego — osiągniętego niemal bez kosztów. Tymczasem te koszta są.

Akt federacji stwarza prawne istnienie federacji, i na jej rzecz ogranicza samodzielność państwową dwóch czy więcej, niż dwu sfederowanych państw. Rząd federacji, w którego skład wchodzą reprezentanci obu krajów ma decydujący głos; federacja ma przedstawicielstwa zagraniczne, federacja ma armię, federacja ma prawo emisji pieniądza. Sądy sądzą w imieniu federacji, konstytucja jest federacyjną, a zatem musi uwzględniać interesy dwóch społeczeństw, które w wielu punktach mogły dotychczas być sprzeczne, więcej nawet — mogły być powodami nieporozumień, sporów. Zatem konstytucja taka musi być wynikiem kompromisu — społeczeństwa sfederowane zrzec się wpierw winny szeregu swych praw. Parlament centralny orzeka w sprawach federacji.

Przy tej okazji warto przypomnieć, że brytyjski *Commonwealth of Nations* nie jest federacją, gdyż składa się z organizmów samodzielnych i pełnoprawnych politycznie, organizmy te łączy jedynie — korona. Nic więcej. Federacją natomiast jest Szwajcaria. Jakkolwiek jednak różnice stanowe, kantonowe w tym wypadku są wielkie, jakkolwiek mówi się tam najpierw o przynależności do kantonu, a potem dopiero do Szwajcarii, tym niemniej jednak na taki stan rzeczy może pozwolić długoletnie wyrobienie polityczne tych ludzi, którzy potrafią przy wielkim patriotyzmie lokalnym, czuć się jednocześnie obywatelami federacji. Na to trzeba jednak lat i tradycji.

PEWNOŚĆ ZYSKÓW

Naprzekór temu wymaganiu czasu, wymaganiu wyrzeczeń się, jednak należy przyjąć, że zasada połączenia sił, zasada kompromisu politycznego jest zasada nie tylko dobrą, lecz wręcz w dzisiejszych stosunkach, po przeżytych już trzech latach drugiej światowej wojny — konieczną. Poprzez świat idzie prąd nowy, z którego ma się dopiero wyłonić nowe także oblicze człowieka. Nie znaczy to, że zaniknie przywiązanie do ziemi, do ojczystego języka, do własnego parlamentu, do prawa rządzenia u siebie. Nie. Tylko, poprzez przyjęcie idei federacji europejskiej, narody tej części świata powiedzą sobie wzajemnie, że chcą pokojowego życia.

Być może, że ten pomysł natrafi na opory w starych nawykach polityków, w niedojrzałości społeczeństw, w ich słabej zdolności rozeznania, co jest ich interesem, a co jest interesem silniejszych, którzy mnożą swoja siłę, kłócac ze sobą słabszych, ofiarując kolejno opiekę jednym przeciw drugim, żeby ich wszystkich poddać swojej przewadze. Być może, że społeczeństwa Europy nie okażą się dojrzałe na tyle, by przeprowadzić ów eksperyment, którego celem zasadniczym jest przekonanie nie tylko Czechów do Polaków, czy Belgów do Holendrów, lecz po prostu człowieka do człowieka.

Na gruzach najpiękniejszych miast naszych panoszą się Niemcy. Gruzy te są polskie, francuskie, czeskie, jugosłowiańskie, holenderskie i inne. Gdyby byłych mieszkańców owych byłych domów ustawić w jednym szeregu, tworzyliby potężną siłę. Gdyby im dać broń mogliby się stać potęgą. A gdyby jeszcze do tego mieli wiarę w siebie wzajemnie, żeby chcieli zrozumieć, że chociaż dzieli ich język, rasa, religia, pochodzenie, są w gruncie rzeczy takimi samymi ludźmi, że tak samo kochają wolność i że warto jej bronić nawet w odległości tysiąca mil od swego domu — wówczas Holendrzy obroniliby Rotterdam pod Warszawą, a Hel stałby się fortecą Londynu. Wtedy każdy napastnik długo by musiał się zbroić, długo ostrzyć bagnety, by zaatakować — tak długo, że siły sprzymierzone znalazły by czas by zapobiec nowemu morderstwu.

TRUDNOŚCI PRZEDSIĘWZIĘCIA

Niewątpliwie wprowadzenie federacji choćby lokalnej, regionalnej /bałkańskiej, polsko-czeskiej/ w życie będzie krokiem rewolucyjnym, będzie — jak słusznie pisze Szerer — skokiem z dużej wysokości na nieznany grunt. Przy stronach ujemnych zagadnienia, łatwo uchwytnych w życiu i łatwo odczutych, znajdować będzie ono wielu przeciwników gorących. Odbierze główną pożywkę ruchom które przez swój dynamizm i nieprzebieranie w środkach, doprowadziły w Niemczech do wybuchu obecnej wojny, a w innych krajach stawiały również raczej na siłę, aniżeli na prawo. Ruchy te więc niewątpliwie pierwsze staną na drodze do stworzenia bloków federacyjnych, do dążności ku wytworzeniu obywatela federacji, a z czasem po prostu Europejczyka.

Prócz tego przeciętny szary obywatel nie będzie mógł łatwo zrozumieć faktu, że racja stanu wymaga, by obcy dotychczas był teraz swoim. Będzie musiał sam siebie wychować do współżycia, jak się do niego wychowuje dzieci, zwłaszcza dzieci różnych usposobień. Zaprowadzenie ładu i porządku prawnego w nowym, doświadczalnym, społeczeństwie federacyjnym również będzie zadaniem niełada.

Zważywszy jednak na dalekowzroczność celów, z uwagi na założenie o ile lepsze i realniejsze, aniżeli założenie Ligi Narodów czy nawet jakiejś niewiadomo komu podległej międzynarodowej siły zbrojnej — federacja narodów niewielkich, narodów szanujących nie tylko swoje, lecz także cudze prawa do życia, jest pożądana, ma siłę przyciągającą, ma wszystkie znamiona rozumu politycznego.

NIE MA POWROTU DO PRZESZŁOŚCI

Cóż zresztą można zaproponować w zamian? Powrót do stanu z przed września 1939, do zasady neutralności, rozmów wielkich mocarstw kosztem małych państw, do panującej wówczas polityki uspakajania wciąż nienasyconego krokodyla? Do tego nie ma powrotu. Z tej wojny narodzi się być może jeszcze przed jej końcem, idea nowa, bardziej ludzka i bardziej jeszcze prosta, aniżeli ta, którą nazwać można najzwyklej zespoleniem sił. Idąc w kierunku myśli i dążeń ludzkich do stałego ulepszania swego życia, trzeba spróbować stanąć stopą na następny szczebel drabiny, z napisem wielkim: zgoda, i mniejszym nieco — poprzez federację. Jeżeli szczebel nie trzaśnie i unieść potrafi całą złożoność duszy ludzkiej, wtedy zda egzamin wytrzymałości, albo może ludzie zdadzą egzamin instynktu samozachowawczego. Jeśli nie, wówczas trzeba będzie szukać czegoś innego. Dziś jednak widać niewątpliwie, że lepiej dobrowolnie wpuścić sąsiada do domu i mieć w zamian za to jego dom otwarty, aniżeli osobno zamknąć się szczelnie każdy u siebie i bohatersko zginąć wraz z całym swoim dobytkiem.

Warunkiem zasadniczym musi być dobra wola. I to u obu sąsiadów. Jeżeli jej nie ma, nie warto zaczynać. Federacjoniści zakładają na samym początku jej istnienie jako pewne. Oby się nie mylili.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

---

*Szerer Mieczysław: "Federacja a przyszłość Polski" /wyd. Mildner/, Poznański Czesław: "Federacja . . . ale jaka?" /wyd. Kolin/.

Władysław Mirecki: Straż na wybrzeżu /linoryt/



Szkic sytuacyjny

11 MILIONÓW

W Stanach Zjednoczonych toczy się obecnie dyskusja na temat siły armii amerykańskiej. Padają takie cyfry jak 11 milionów; znane pismo amerykańskie "*Life*" uważa, że armia o takiej sile nie wystarczy USA. Wyraża ono przekonanie, że Stany mogą sobie pozwolić na siły zbrojne o wiele poważniejsze i wskazuje, że ze względu na wielkie zobowiązania Stanów oraz olbrzymie fronty, na jakich trzeba będzie walczyć, należy te siły pomnożyć.

Prezydent Roosevelt wyraził niedawno sąd, że w warunkach nowoczesnych armia powinna być utrzymana w pewnych granicach. Wspomniał on o granicy 7 i pół miliona. Źródła amerykańskie zaznaczają, że *powołanie pod broń 8-u milionów obywateli Stanów nie wpłynie na produkcję wojenną.*

Stany Zjd. są obok Rosji Sowieckiej jedynym na świecie państwem, które przy powołaniu licznych milionów pod broń może zostawić przemysł wojenny "pod parą." Jest to czynnik olbrzymiego znaczenia, o którym doskonale wiedzą Niemcy. Ich t.zw. *totalna mobilizacja* jest wywołana nie tylko zagrożeniem stanowisk na Wschodzie, ale także przekonaniem, że bez największego wysiłku narzuconego całemu kontynentowi nie potrafią sprostać nawet w tej mierze produkcji amerykańskiej, ażeby bronić skutecznie swojej "fortecy europejskiej."

"Totalna mobilizacja" niemiecka jest sprawą, która najbliżej dotyczy kontynentu. Odczuwa on coraz bardziej nacisk maszyny niemieckiej. Wypompowuje się siły ludzkie na wielką skalę. Przez zajęcie całej Francji Rzesza otrzymała dostęp do niewyzyskanego jeszcze rezerwoaru ludzkiego. Ale pomimo tych wszystkich wysiłków, wątpić należy, ażeby Rzesza poszła na otwarty pobór wojskowy.

Na razie działa ona przez t.zw. ochotników, a więc w Holandii przez organizację Musserta, tamtejszego "wodza" partii narodowo-socjalistycznej Holandii, przez "legionistów" Lavala i t.d. W krajach jednak, gdzie podobnych organizacyj quislingowskich nie ma, działanie niemieckie jest utrudnione. Rzesza zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa wciskania broni w ręce "niepewne." Nawet przesiewanie żołnierzy obcych narodowości w jednostkach czysto niemieckich nie jest ani prostym ani bezpiecznym zadaniem.

Fakt, że siły zbrojne Ameryki będą liczyły na wstępie przyszłego roku 11 milionów jest sprawą nader doniosłą. *Stany dojdą do końcowej rozgrywki w najlepszej bodaj formie. Jest to dla świata najlepsza gwarancja.*

W TUNISIE I NA LINII MARETH

Działania w Tunisie przedstawiają obraz dosyć złożony. Nacisk na wojska amerykańskie osłabł, za to Rommel podjął działania przeciwko stanowiskom brytyjskim na przedpolu Linii Mareth. Jaki jest cel tego działania? Czy ma on na celu pomieszanie szyków wojskom brytyjskim, które zgromadziły naprzeciwko umocnień Mareth ogromną siłę /poważne zasoby artyleryjskie/? Czy Rommel chce przez wypad swój osłabić stanowiska brytyjskie, a równocześnie wybadać, jakie siły Anglicy zgromadzili? Czy uważa, że skoro chwile jego są policzone i trzeba będzie zabierać się prędzej czy później z Tunisu, chciałby wiedzieć, ile tego czasu pozostało?

Być może jednak, że jest to *manewr mylący*, po którym Rommel ruszy na innym odcinku. Trudno przypuszczać, ażeby Rommel chciał dzisiaj atakować w stronę Trypolisu. Trudno także zdobyć mu się na jakiś manewr w kierunku wojsk amerykańskich. *Jest on coraz bardziej w potrzasku*, ale jego teren kurczy się powoli.

Jeżeli by ten pierścień wokoło Rommla zamknął się ostatecznie, to wówczas można by przewidzieć wcale dokładnie jak długo jeszcze potrwa tunetańska przeprawa. *Na razie pierścień się nie zamknął, ale wszystko wskazuje na to, że wojska sojusznicze dążą do jego zamknięcia.* Gromadzenie sprzętu i zapasów posuwa się nadal. Robota w Tunisie jest mozolna i powolna i nadzieje tych, co liczyli, że do końca marca Tunis będzie załatwiony, nie spełniły się.

Prorokowanie byłoby tutaj może zawodne. Wszystko zależy od podciągnięcia odpowiedniej ilości sprzętu i na takim skoncentrowaniu lotnictwa, zarówno bombardującego, jak myśliwskiego, ażeby lotniska niemieckie zostały sparaliżowane a dopływ "Luftwaffe" z Sycylii został przecięty.

Wydaje się, że wojska brytyjskie w odpowiedzi na wypad Rommla przejdą do przeciwuderzenia i że będą musiały złamać szturmem linię Mareth. W chwili złamania /lub obejścia/ tej linii, położenie niemieckie w Tunisie stanie się poważne.

WOJSKA SOWIECKIE POSUWAJĄ SIĘ DALEJ

Działania ofensywne wojsk sowieckich trwają nadal. Nie tylko zdołały one zwolnić pierścień wokoło Leningradu, ale odciążyły poważnie odcinek moskiewski. Wskazywało by to na to, że dowództwo sowieckie obawia się, iż Niemcy w razie przejścia do ofensywy mogliby przede wszystkim skierować swoje działania *przeciwko Moskwie.*

Istotnie, jeżeli zastanowić się nad kierunkami możliwego ataku niemieckiego /szanse tego ataku coraz bardziej nie tyle może spadają, ile oddalają się w czasie/, to zdawało by się, że Moskwa powinna być celem najbliższej próby niemieckiej.

Przypomnijmy sobie, że Hitler prowadził pierwsze uderzenie w kierunku Moskwy. Była to ofensywa polityczna w pełnym znaczeniu tego słowa. Miała ona cele polityczne na względzie, przy czym Hitler był przekonany, że zajęcie Moskwy przesądzi o całej kampanii.

Druga część działań w Rosji to kampania militarna, mająca na celu względy militarne oraz względy gospodarcze. Ta kampania powiodła się lepiej, albowiem armie niemieckie stanęły na Kaukazie i przepołowiły, jeżeli tak można powiedzieć, Stalingrad.

Celem akcji niemieckiej w przedłużeniu niejako, po ewentualnym zdobyciu Stalingradu, byłby marsz na północ wzdłuż biegu Wołgi i pochwycenie Moskwy od tyłu. Wszystko na to wskazuje, że takie plany były w zamiarze "Wehrmachtu."

Dzisiaj stawia się na nogi "*wojnę krzyżową,*" co wskazywało by, że znowu cele polityczne zaczynają górować nad rozwiązaniem strategicznym. A zatem Moskwa, próba zdobycia tego miasta w nadziei, że jednak zaważy to jakoś na moral sowieckim.

Jeżeli przeważy myśl militarna, to wątpić by należało, czy armia niemiecka będzie próbowała iść znowu południem pod Stalingrad i na Kaukaz. Jeżeli by nawet udało się zdobyć takie czy owe punkty, nawet gdyby powiodło się zepchnąć wojska sowieckie raz jeszcze na zimowe stanowiska — to przecież znowu widmo zimy nad Wołgą pojawi się przed armią niemiecką. Czyż takie zadanie nie przedstawia się strategii niemieckiej jako beznadziejne? Wydaje się, że istotnie strategia niemiecka jest w ślepej ulicy.

Jakie jest dla niej wyjście? Próba dorwania się do żywych sił nieprzyjaciela nawet kosztem *dalszego cofania się w głąb Ukrainy.* A zatem — możliwość *jakiegoś drugiego Tannenbergu, jezior mazurskich.* Czy oblicza się je na Prypeci czy też na północy?

Tego rodzaju manewr niemiecki nie jest wykluczony. Dowodziłby on, że generałowie niemieccy zdobyli przewagę nad Hitlerem.

Chwila której jesteśmy świadkami obecnie, jest dla strategii niemieckiej doprawdy trudna. Powołano do akcji generała, który jest odpowiedzialny w ogromnym stopniu za stworzenie armii czołgowej — Guderiana. On to przecież na olbrzymich rosyjskich przestrzeniach stworzył ongiś wizję wojny czołgów, mając oczywiście na względzie zdobycie tych obszarów przez niemieckie czołgi. Dzisiaj generał ten, przez jakiś czas zapomniany, wraca do akcji.

Londyn, 8 marca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

26 l u t e g o : *Ambasador R.P. przy Rządzie Z.S.R.R. Tadeusz Romer został przyjęty przez przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych w Z.S.R.R. Stalina. Rozmowa dotyczyła całokształtu stosunków polsko-sowieckich.*

2 m a r c a : *Sowiecka Agencja Prasowa TASS opublikowała oficjalną odpowiedź sowiecką na deklarację polską z dnia 25 lutego b.r.*

—W nocy z 1/2 polskie załogi bombowe kładły miny na wodach nieprzyjacielskich.

2/3 m a r c a : *Bombowce amerykańskie zaatakowały silnie chroniony konwój japoński na Morzu Bismarcka. Konwój składający się z 12 statków i 10 okrętów uległ całkowitemu zniszczeniu.*

3 m a r c a : *Prezes Rady Ministrów gen. Sikorski odbył narady z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych Edenem.*

—W nocy z 3/4 polskie dywizjony bombowe bombardowały Hamburg. Wszystkie załogi polskie powróciły.

5 m a r c a : *Ogłoszona została odpowiedź polska na oświadczenie sowieckie z dnia 1 marca. W odpowiedzi tej powiedziano: "Deklaracja Rządu Polskiego z 25 lutego 1943 roku, za którą stoi jednomyślnie cała Polska nie miała na celu tak szkodliwej w chwili obecnej polemiki. Stwierdzała ona jedynie niezaprzeczalne prawa polskie do ziem, na których naród polski współżyć będzie z ukraińskimi i białoruskimi współobywatelami zgodnie z głoszonymi przez Rząd R.P. zasadami."*

—W nocy z 4/5 polskie załogi bombowe kładły miny na wodach nieprzyjacielskich.

6 m a r c a : *Prasa doniosła o urządzeniu przez Niemców nowego miejsca masowych traceń Polaków na terenie więzienia politycznego w Mysłowicach na Śląsku. W więzieniu tym Niemcy zabijają Polaków w komorach gazowych a ciała spalają w krematoriach.*

—W nocy z 5/6 polskie dywizjony bombowe bombardowały Essen. W czasie tych operacyj na jednej ze stacyj lotniczych w Anglii znajdował się Naczelny Wódz oczekując powrotu bombowców.

W dniu 6 b.m. Naczelny Wódz gen. Sikorski dokonał uroczystej dekoracji lotników bombowych Krzyżem "Virtuti Militari." Po dekoracji odbyła się defilada dywizjonów bombowych na ziemi oraz w powietrzu. W defiladzie powietrznej wzięła również udział na własną prośbę wielka formacja myśliwców z polskiego skrzydła myśliwskiego.

W czasie uroczystości na lotnisku N.W. m.in. powiedział: "Przemawiam do Was w momencie niezwykłego naprężenia zarówno natury wojskowej, jak i politycznej. Wojna nie jest jeszcze wygrana jak to niektórzy sądzą. Do zakończenia wojny ściele się droga jeszcze niezwykle trudna i niebezpieczna. Rozstrzygnięcie jej nie zapadnie na Wschodzie. Zwycięstwa nie osiągnie sama Rosja. Wojna rozstrzygnie się na polu bitwy narodów przy udziale wszystkich, a przed innymi — naszych potężnych Aliantów zachodnich. Niech pamiętają ci, którzy tak gwałtownie wszystko krytykują, że o wojnie i pokoju rozstrzygać będą również W. Brytania i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a z państwami tymi łączą nas nie tylko węzły przyjaźni, ale i formalne przymierza."

W ciągu ub. tygodnia polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały patrolowanie dzienne i nocne. Polski dywizjon bombowy w Dowództwie Obrony Wybrzeża wykonywał zadania wywiadowcze.

Wojna na morzu

MÓWI PIERWSZY LORD ADMIRALICJI

Mr. A. V. Alexander jako Pierwszy Lord Admiralicji /minister marynarki wojennej Wielkiej Brytanii/ referował budżet swego ministerstwa w parlamencie. Budżet tradycyjnym zwyczajem uchwalono jednogłośnie bez poprawek. Dowód, że samodzielność organizacyjna, gwarantująca bezpośrednie zetknięcie marynarki z przedstawicielami narodu, najłatwiej usuwa wszelkie przeszkody.

W Polsce nie naród był przeciwny rozbudowie siły zbrojnej na morzu czy w powietrzu — przeciwnie samorzutnie ofiarowywał na ten cel większe sumy. Jednak uzależnienie marynarki od wojska uniemożliwiało jej przedstawicielowi bezpośrednie zetknięcie się z Sejmem czy Senatem. To też preliminaż budżetowy, zanim dotarł do komisji sejmowej, bywał już kilkakrotnie redukowany przez różne niefachowe instancje. Nie tworzono w Polsce marynarki — a jedynie od wypadku do wypadku budowano okręty . . .

Pierwszy Lord Admiralicji nie ma tych kłopotów. Od chwili wybuchu wojny zbudowano z jego budżetu 900 okrętów wojennych. A oto kilka zdań z jego przemówienia:

Straty w wojnie podwodnej zmniejszyły się. W lutym zniszczono rekordową cyfrę okrętów podwodnych nieprzyjaciela. Ale niebezpieczeństwo istnieje nadal.

Konwoje do Rosji kosztowały /prócz strat w statkach handlowych/ 2 krążowniki, 10 kontrtorpedowców i 6 okrętów mniejszych.

Lotniskowce przerzuciły na Maltę 744 samoloty myśliwskie, dzięki czemu opanowano trudną już sytuację. W niezmiernie ciężkich warunkach zaopatrywanie wyspy nie ustawało ani na chwilę. Stracono w tych operacjach 2 lotniskowce, 3 kontrtorpedowce. /I tu polskie okręty wojenne brały udział, przyczem zatonął kt. "Kujawiak."/

Do Afryki Północnej dostarczono pół miliona ludzi i milion ton sprzętu oraz zaopatrzenia wojennego. Straty w tej operacji były niższe od spodziewanych, jakkolwiek dość dotkliwe. Tym nie mniej panowanie na morzu zachowano całkowicie i flota włoska nie odważyła się wydać bitwy. /Wyróżnił się tu polski kt. "Błyskawica."/

Zniszczono lub schwytano 5 milionów ton statków nieprzyjaciela, a uszkodzono dalsze 3 miliony ton. Zatopiono ostatnio 6 "łamaczy blokady" — statków handlowych usiłujących przewieźć z Japonii do Francji cenne surowce strategiczne.

Lotnictwo floty zniszczyło w r. 1942 ponad 100 samolotów npla i uszkodziło 50, kosztem straty 25 samolotów własnych. Pozatem współpracowało przy niszczeniu okrętów podwodnych.

Floty Wielkiej Brytanii są dziś silniejsze niż kiedykolwiek. Straciły 477 okrętów, zyskały 900. Straty w okrętach liniowych zostały skompensowane przez wejście do linii nowych, najpotężniejszych jednostek. Straty w krążownikach są wyrównane na 95%. W okrętach lekkich i podwodnych, mimo dużych strat, przekroczono znacznie przedwojenny stan posiadania. Zbudowano około 200 korwet do walki z okrętami podwodnymi i samolotami, a obecnie buduje się silniejszy typ eskortowca — nazwany fregatą. Nie wyrównano tylko strat w lotniskowcach, ale i tu następuje poprawa. Nadto uzbrojono 8300 statków handlowych — własnych i sprzymierzonych.

Utrzymanie panowania na morzu kosztowało Wielką Brytanię, licząc kategoriami: 5 okrętów liniowych /"Royal Oak," "Barham," "Hood," "Repulse," "Prince of Wales"/, 7 lotniskowców, 25 krążowników, 14 krążowników pomocniczych, 94 kontrtorpedowce, 14 korwet, 44 okręty podwodne, 1 monitor, 13 kanonierek, 192 poławiacze min, 1 stawiacz min, 6 patrolowców i t.d.

Cena, jak widzimy, wysoka. Ale panowanie na morzu decyduje o zwycięstwie na lądzie.

FLOTA NIEMIECKA W NORWEGII

Prasa doniosła o koncentracji silnej eskadry niemieckiej we fiordzie Trondhjem. Mają się tam znajdować nadpancernik "Tirpitz," pancerniki "Scheer" i "Lützow," 3 krążowniki i kilkanaście kontrtorpedowców, oraz lotniskowiec "Graf Zeppelin."

Wysunąć stąd można wnioski, że nieprzyjaciel bądź chce bronić Norwegii przed spodziewanym desantem, bądź atakować konwoje idące do Rosji, bądź też wciągnąć flotę brytyjską w zasadzkę naszpikowaną okrętami podwodnymi i samolotami. Wysunięto nawet przypuszczenie, że ma to być raid przeciwko wybrzeżu Ameryki. Niewątpliwie adm. Doenitz chce się tu wykazać działalnością. Za brak "inicjatywy" usunięto jego poprzednika oraz 6 innych admirałów Rzeszy.

OCEAN SPOKOJNY

Japończycy ponieśli jedną z największych klęsk w historii. Wielki konwój, płynący z odległych baz japońskich poprzez Nową Brytanię do Nowej Gwinei, został opóźniony przez sztormy i wszedł w sferę działania lotnictwa U.S.A. Po dwóch dniach tropienia nastąpiły dwa dni bombardowania. W końcu Morze Bismarcka stało się grobem 10 okrętów wojennych i 12 transportowców Mikada. Utonęły tysiące ludzi wraz z mnóstwem cennego sprzętu. Zestrzelono też 82 samoloty japońskie /cyfra wydaje się przesadna/. Wszystko to kosztem pięciu samolotów własnych.

Jeśli nawet wiadomości te zawierają nieco amerykańskiej reklamy, to w każdym razie Japończycy ponieśli tu dotkliwą klęskę. Odbije się to od razu na operacjach lądowych: siły japońskie na Nowej Gwinei zostaną pozbawione pomocy i zaopatrzenia. Jeszcze jeden dowód jak trudno jest prowadzić działania o kilka tysięcy mil od własnych podstaw operacyjnych.

Amerykanie posiadali przewagę w powietrzu i odpłacili raz jeszcze za Pearl Harbour i Morze Jawajskie. Nie należy jednak stąd wnioskować, że przewaga ta jest wszechdecydująca strategicznie. Gdyby nie flota U.S.A., nie byłoby samolotów gwiaździstej bandery na tych wodach. I nie byłoby wojsk amerykańskich na okalających je bazach lądowych i lotniczych. Kto mówi, że samoloty doprowadzą do zmierzchu marynarki, ten tym bardziej godzi w wojsko na lądzie. Bo łatwiej przecież zbombardować z powietrza obiekt lądowy niż morski. Że jednak o zmierzchu wojska jeszcze się nie mówi, tedy . . . dajmy żyć i marynarce. O zwycięstwie decyduje bowiem współpraca wszystkich dziedzin obrony państwa — z wojskiem, marynarką i lotnictwem na czele.

MORZE ŚRÓDZIEMNE

W lutym zatopiono znów około 30 statków nieprzyjaciela, uszkodzono drugie tyle, a nadto posłano na dno 4-5 okrętów wojennych. Położenie Rommla na tunetańskim przyczółku, mimo chwilowych powodzeń, nie wydaje się godne pozazdroszczenia. Brytyjskie okręty podwodne bombardują wybrzeże Włoch, zatrzymują pociągi, niszczą linie kolejowe i drogi, biegnące brzegiem. Niekiedy — jak to robił i polski "Sokół" — wchodzą do zatok i portów, topiąc, obok większych okrętów i statków, nawet żaglowce.

Podkreślić tu należy wysiłek brytyjski w dziedzinie okrętów podwodnych. Gdy wojna wybuchła Wielka Brytania posiadała ich 54. Straciła od września 1939 — aż 44. Czyli, że powinna mieć teoretycznie tylko 10. W istocie flotylle podwodne bandery św. Jerzego są dziś liczniejsze niż przed wojną.

Ostatnio brytyjskie okręty podwodne ukazały się na wodach Grecji. Podobno zaopatrują też powstańców jugosłowiańskich. W chwilach kryzysu zaopatrywały Maltę w materiały pędne i najpotrzebniejsze zasoby. I tu więc *Royal Navy* panuje nie tylko na wodzie, ale i pod wodą. "Najsilniejsza i najlepsza flota podwodna świata" — jak nazywał Mussolini swoje flotylle podwodne — dała się i tu, na własnych wodach, zdystansować. Duce zużył ją na pomaganie Hitlerowi — hen daleko, na Atlantyku — zupełnie niepotrzebnie. Tak samo niepotrzebnie bombardował z powietrza Anglię.

I dziś za to płaci.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Dowódca zespołu brytyjskiego, do którego należał O.R.P. "Burza" w czasie grudniowych walk z okrętami podwodnymi na Atlantyku wysłał następujący sygnał do dowódcy polskiego okrętu:

"Podziękowania i wiele wdzięczności za wspaniałą współpracę O.R.P. "Burza." Odgadywaliście tak dobrze moje życzenia, że trudno było uwierzyć, iż nie jesteście jednym ze starych okrętów mego zespołu. Będę się usilnie starał aby zapewnić sobie ponownie usługi "Burzy."

JULIAN GINSBERT

Listy z Argentyny

Z wizytą u Polaków w Misiones

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

W pogodne słoneczne popołudnie wchodzę na pokład "Ciudad de Asuncion," komfortowego statku linii okrętowej "Mihanovich S.A."—*made in Glasgow*— i w chwilę później mijam malownicze zaułki starego portu i włoskiej dzielnicy Boca—właściwej ojczyzny tanga. . . .

Następnego ranka budzę się na kilka kilometrów przed Rosario, największym, nie licząc stolicy mieście argentyńskim, aby tego samego dnia zwiedzić Parana i Santa Fé i popłynąć dalej szerokim korytem Srebrnej Rzeki—na północ. W Corrientes, mieście z epoki kolonialnej, po czterech dniach żeglugi, przesiadam się na inny statek, płynący w kierunku Posadas . . . Jeszcze kilkanaście godzin i oto—po lewej stronie rzeki dziki brzeg paragwajski, a po prawej: Misiones, ziemia mlekiem i miodem płynąca, ale pełna jeszcze nieprzebytych lasów dziewiczych i dzikich ostępów, w których nie postała noga człowieka . . .

W Posadas—stolicy obecnego "Territorio Nacional" Misiones, zatrzymuję się całą dobę. Zwiedzam szybko pobliskie ruiny świątyń z epoki pierwszego "komunistycznego" państwa na świecie, to jest republiki Indian "Guarani" założonej w XVII wieku przez OO. Jezuitów i wracam do miasta, aby odnaleźć Polaków, do których mam listy z Buenos Aires. W Posadas nie mieszka więcej, niż 30 rodzin polskich. W Misiones żyje około 1500 rodzin polskich. Najbogatsza i najliczniejsza kolonia to Apostoles, gdzie niektórzy gospodarze mają więcej, niż 50 ha ziemi o wielkiej kulturze — a kilku ponad 100 ha. Bogactwo kolonistów stanowią plantacje yerba mate i tytoniu.

Apostoles—to kolonia rdzennie polska. Są i inne również czysto polskie — "lansowane" przez Tow. "Colonizadora del Norte," będące własnością Rządu Polskiego z siedzibą w Buenos Aires, jak Wanda i Lanusse.

Dowiaduję się, iż Polacy, przybyli tu przeważnie z Małopolski Wschodniej, w ogromnej większości nie wynaradawiają się, żenią się między sobą i żyją swoim własnym polskim życiem misjoneńskim. Młode pokolenia są lepiej zbudowane i wyższego wzrostu, niż rodzice i dziadkowie. Dziewczyny — w większości niebieskookie i jasnowłose, o ładnej rumianej cerze, zapewne dzięki konsumowanym pomarańczom, które zrywa tu z drzew niepytany, każdy kto ma na to ochotę . . .

— Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa i pomarańcz deszcz zielone złoci drzewa . . . itd.—to Misiones!

Istnieje tu kilka Towarzystw Polskich, na ogół mało czynnych: "Orzeł Biały" w Posadas, Towarzystwa Sienkiewicza i Kościuszki w Apostoles. Nie ma, niestety, szkół polskich. Nie ma również obecnie Konsulatu. A szkoda—bo napewno bardzo byłby tu potrzebny. Podobno starania o założenie "Patronatu" polskiego mają szanse bliskiego urzeczywistnienia.

Tak jak jest w obecnej chwili, społeczeństwo polskie, otoczone silną liczebnie emigracją niemiecką, zostawione jest samemu sobie. Duchowieństwo w Misiones — to wyłącznie Niemcy, należący — do t.zw. "Verbo Divino." Przed kilku miesiącami bawił tu ksiądz Filip Dachowski, któremu w ubiegłym roku udało się wydostać z Polski i przybyć do Ameryki Południowej. Miał patriotyczne kazania. . . . Musiał wyjechać, gdyż obecny gubernator, posądzany, zdaje się, dosyć słusznie o sympatie totalitarne, nie był zbyt zadowolony z pobytu polskiego duszpasterza.

Donosiłem w poprzedniej korespondencji o ochotnikach — braciach Widlach z Misiones, służących obecnie w Wojsku Polskim. Dowiaduję się, iż kilkudziesięciu Polaków z tych stron poszło w ich ślady, a wielu uczyni to w najbliższej przyszłości. . . . Gdy patrzę ze wzgórza, na którym rozrosło się malownicze Posadas —na przeciwległy brzeg Rio Parana i lasy paragwajskie, myślę o tym, jak daleka i jak niezwykła wydawać się im musi droga z tych puszcz egzotycznych pod chmurne niebo "polskiej Szkocji."

Pisząc o rzeczywistości polskiej w Misiones nie mogę nie napisać o "Osadniku"—tygodniku polskim, wydawanym w Posadas. Przede wszystkim przedstawiam Państwu wydawcę, redaktora, zecera, akwizytora i administratora w jednej osobie: pan Antoni Skupień, lat 40 z okładem, pochodzi z Małopolski Wschodniej. Adres: Posadas, Misiones, Avenidad Corrientes 660, Semanario Polaco "El Colono", Argentina.

Avenidad(!) Corrientes — to mała uliczka na przedmieściu Posadas, na której grzęźnie po osie Ford, wiozący mnie z portu. "Siedziba redakcji" — to drewniana chałupa. . . . Jedyne oświetlenie — mała naftowa lampa. Jedyny kapitał: patriotyczny entuzjazm i upór polskiego chłopa . . .

Antoni Skupień przyjechał do Misiones jako kilkuletni chłopiec. W ubiegłym roku zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego. Nie przyjęto go, gdyż ma żonę i dzieci. Najstarszy, jedenastoletni Zbyszek — to . . . główny współpracownik "zecerni" "Osadnika"!

—Nie mam więcej czcionek — mówi z żalem Skupień—niż na dwie stronice . . . Muszę je rozkładać, by złożyć następne! Gdybym tak mógł dostać choć z 50 kilo ręcznych czcionek, "Osadnik' wychodziłby co tydzień— a nie co dwa tygodnie. Prawda, że nie znam dobrze fachu drukarskiego . . . Dość Panu powiedzieć, iż każdy numer kosztuje mnie i Zbyszka 10 dni pracy. . . ."

Przeglądam kilka ostatnich egzemplarzy pisma. Bynajmniej swą szatą zewnętrzną nie zdradza dyletanta, a zawiera szereg ciekawych informacji, dotyczących życia polskiego w Argentynie, jak również kilka artykułów i wiadomości przedrukowanych z prasy polskiej w Buenos Aires.

Zapoznaję się również, coraz bardziej zafrapowany z budżetem tego zaiste niezwykłego czasopisma polskiego! Prenumerata roczna wynosi 3 pezy argentyńskie. "Osadnik" wychodzi w 600 egzemplarzach, ale wielu prenumeratorów należy do rodzaju niepłacących.

—Papier jest droższy z każdym miesiącem — ciągnie dalej mój rozmówca. — Jak dotąd pokrywałem ten wydatek z pieniędzy otrzymywanych ze stałego ogłoszenia Banku PKO. z Buenos Aires, ale boję się, że to przestanie wystarczać. . . . Lecz najważniejsze to czcionki! Wszystko poszło by inaczej. Konsul Generalny w Buenos Aires obiecał mi pomoc i miał pisać w tej sprawie do USA. . . .

Obiecuję ze swej strony zrobić, co w mej mocy. Skupień prosi mnie również o polskie gazety, o książki . . . "W pustyni i puszczy" zostało wydane w 100 egz. w drukarni "Osadnika", mieszczącej się w . . . małej szopie, dzięki zdaje się, przede wszystkim niewyczerpanemu zapałowi małego Zbyszka i niższym cenom papieru w ubiegłym roku.

Uprzejmy gospodarz odprowadza mnie na statek, opowiada, jak oto ciężko i trudno żyje mu się w Posadas, gdyż na pracę poza "Osadnikiem" nie ma nieomal czasu, a tej za nic w świecie rzucić nie chce . . .

Minęło szereg tygodni. Interior brazylijski, później Rio de Janeiro, w Buenos Aires — wiele różnorodnych spraw i kłopotów. Zapomniałem o "Osadniku". Aż wreszcie przed paroma dniami odebrałem wraz z pocztą, odesłaną mi przez Poselstwo w Rio de Janeiro, list od dzielnego Antoniego Skupienia. Oto główne ustępy jgeo listu:

"*. . . U "Osadnika" przyszłość coraz ciemniej się zapowiada. Prenumeratorzy coraz to bardziej zapominają, że i on przecież aurą nie żyje. Ogłoszenia coraz to taniej trzeba dawać, bo ogłaszający skarżą się na ciężkie czasy . . . Czarno, bardzo czarno . . . Ale nic to, trzeba wytrzymać, dokąd się da tylko . . . Aby do zwycięskiego zakończenia wojny mógł "Osadnik" wytrzymać, tobym nic więcej nie chciał . . . Ażebym choć w ostatnim numerze, na pierwszej stronie mógł zamieścić największymi czcionkami: Rodacy Ojczyzna wolna jest od wroga . . .*

—Ciekawy jestem—brzmi dalszy ustęp listu — czy też Pan mógł wstąpić do kolonii Wanda, w swej podróży po Alto Paraná? I czy oglądał Pan wodospady Iguazú? Bo ja pomimo mych 40 lat w Misiones nie miałem okazji podziwiać tego cudu. . . ."—I dalej skarżąc się iż kilka osób z Buenos Aires rzadziej teraz do niego pisuje, kończy tymi słowami: "Nic to. "Osadnik" wytrzyma do ostatniej kuli, a jeszcze i na bagnety pójdzie, gdy będzie trzeba . . ."

Posyłam te słowa "Walczącego Osadnika" redakcji "Polski Walczącej"—bez komentarzy.

GUSTAW KOTKOWSKI

Książki o wojsku i wojnie

"Nazywam się Milion"

Słyszałem o tej książce sporo dobrego, to też zalecałem ją, ilekroć koledzy prosili mnie o radę, co ofiarować brytyjskim przyjaciołom na pamiątkę. Ale — ze wstydem wyznaję — sam nie przeczytałem jej nigdy. Dlaczego? Bo tak się jakoś złożyło; a może także, bo podświadomie bałem się tego, co lubimy czasem w złośliwym skrócie nazywać: propaganda plus cierpiętnictwo.

Aż oto wpada mi w ręce polskie tłumaczenie tej książki.* Może i tego nie byłbym ruszył, pewnie pod pretekstem, że przecie lepiej to czytać w oryginale angielskim . . . Ale tak jakoś zacząłem przerzucać kartki, i ani się spostrzegłem, jak przeczytałem wszystko. Ba, nawet potem do niektórych miejsc wróciłem. Bo jedną z cech tej książki jest, że zmusza ona do przeżywania wraz z autorką wszystkiego, co ona przeżyła, do odnajdowania refleksów własnych wspomnień w zdarzeniach, które maluje tak barwnie i tak szczerze. Dotyczy to zresztą nie tylko chwil grozy i trwogi, które samą siłą swego napięcia ryją się w naszej pamięci śladem niezatartym, ale także chwil cichych, słonecznych.

Na przykład, jakże pięknie i jakże prawdziwie pokazano nam w tej książce przedwojenne wakacje we wsi polskiej — te miesiące nabrzmiałe szczęściem, nad rwącym nurtem Narwi, gdy wiśnie są pełne świegotliwych ptaków, szparagi się kończą, a wiejskie dzieci roznoszą poziomki, te "leśne, polskie poziomki o niezapomnianym zapachu, po którym poziomki na całym świecie wydają się kawałkami malowanego drzewa." W lato to — jakże dobrze je pamiętamy — wdziera się coraz silniej zamęt przybliżającej się wojny, aż nastrój szczęścia pryśnie, w tych dniach rozdygotanych wybuchami bomb, rozpłomienionych łunami płonących osiedli.

Towarzyszymy autorce w gonitwie jej niespokojnych myśli, w jej lęku o to, czy aby Alianci nie pozostawią nas samych, a potem w jej wybuchu radości, gdy jednak "Anglia wystąpiła." Potem, poprzez stronice tej książki, a zarazem poprzez nasze własne wspomnienia, przewijają się ponure obrazy ewakuacji, najczęściej niepotrzebnej a zawsze tragicznej; gehenna miast i miasteczek polskich, zamieniających się w ciągu kilku kwadransów w ruiny i rumowiska; wspaniałe, nieprzejednane stanowisko ludności cywilnej i żołnierzy, tych "groźnych i zaciętych wojowników o niedoścignionej wytrzymałości i zdolności odradzania się po porażce"; praca i ofiarność kolejarzy polskich, o których jakże słusznie czytamy, że "jeśli kiedy cała historia wojny niemieckiej w Polsce zostanie opisana, powinna oddać hołd ich bohaterskiej roli" . . .

Potem książka ta pokazuje, a niejednemu z pośród nas przypomina, atmosferę wsi poleskiej we wrześniu, inwazję sowiecką, i tę szarą, bezbrzeżną, zda się, beznadziejność, poprzez którą jednak, przebłyskuje zdala jakiś promyk. Promyk nadziei, zbyt wątły, by jej nie nazywać romantycznym szaleństwem, a przecie dostateczny, by zapewnić cel naszemu istnieniu. Nadziei, która oto dzisiaj rozpromieniła się w nas w wielką, niezachwianą pewność.

Książka ta ma wagę przede wszystkim jako dokument, jako sprawozdanie, ocena, opowieść o przeżytych dniach i nadchodzących z nimi wydarzeniach. Stwierdza to słusznie sama autorka. Piękna forma literacka wzmaga wartość tego dokumentu, tym jeszcze większą, że pochodzi on od Angielki, znającej i kochającej Polskę, jak w tym stopniu może nikt inny z pośród jej rodaków, i że pisany był właśnie dla nich. Książka ta wiele rzeczy o nas tłumaczy im i wyjaśnia.

Pokazuje głębokie, mistyczne napięcie patriotyzmu polskiego, tego patriotyzmu, który często obcy a czasem i swoi, utożsamiają błędnie z nacjonalizmem. Pokazuje im z jaką tęsknotą i rozpaczą czekano u nas, właśnie wtedy — we wrześniu 1939 roku — na "drugi front"; i chyba nic lepiej tragizmu tego czekania nie odmalowuje, jak to proste pytanie, jakie autorka wtedy słyszała: "Ale kiedyż nadejdzie pomoc, Pani Angielko?" Pytania, którym ludzie w Kraju żyją i dzisiaj jeszcze, po tylu latach, choć już nie wątpią w zbliżanie się chwili, w której padnie na nie silna odpowiedź . . .

Jednej tylko rzeczy w książce tej nie znalazłem. Tułaczka wrześniowa była dla tylu z pośród nas objawieniem i nauką społeczną. Wypadki rzuciły nas przecie do ośrodków nędzy ludzkiej, do przedmieść i przysiółków. Nauczyły nas tam dostrzegać i lepiej niż przedtem rozumieć skutki socjalne lat niewoli, niedorozwoju gospodarczego, naszych własnych przewin i zaniedbań. Nie zapomnimy nigdy tych noclegów u nędzarzy, zmuszonych do utrzymywania swych rodzin z kilku morgów piasku; nie zapomnimy naszego podziwu, że ich patriotyzm, przechodząc poprzez próby najbardziej ciężkie, wychodzi z nich jednak zwycięsko.

Autorka w swej książce wspomina o chłopach szereg razy. Prawda, oddaje hołd ich stosunkowi do Ojczyzny, ale poza tym odmalowuje ich zachłanność, skąpstwo, egoizm, wyzyskiwanie sytuacji. Czyni to opisowo, najczęściej prawdziwie, bez animozji; ale ona, która wykazuje skądinąd tyle zrozumienia dla spraw polskich i tyle wnikliwości, nie sili się na sięgnięcie do źródła tych przejawów. A przecie gdyby i tu chciała sięgnąć głębiej, znalazłaby wytłumaczenie niejednej obserwacji.

A jednak o brak ten autorki nie winię — książka jej ma także pod tym względem wartość dokumentarną. Stwierdzam to bez cienia złośliwości, na którą jako żywo nie zasłużyła sobie autorka tak pięknej książki; ona, która przecie stwierdza, że "dopóki sił starczy, żyje tylko po to, aby pracować dla Polski." Książka jej w tym zakresie po prostu świadczy, jak przed wojną mało nastawiano się u nas na te zagadnienia, które jednak stanowić muszą jeden z ważnych kanonów tego właśnie wyznania wiary, które autorka głosi.

Jestem przekonany, że gdyby pozostała ona w Polsce, braku tego nie byłoby w jej wspomnieniach. Bo przecie tam, u nas, nastąpiło ogólne zrównanie w doli i w niedoli, i ludzie nie tylko jednako swój kraj kochają, lecz także lepiej rozumieją się nawzajem. Kiedyś, gdy autorka znajdzie się znowu w wolnej Polsce, da pewnie temu rozumieniu wyraz w tym, co jeszcze napisze. A trzeba koniecznie nie tylko, by do Polski powróciła, lecz także, by książkę swą, wbrew własnej zapowiedzi, jednak dokończyła. I by o sprawach polskich pisała dalej.

Wspomnienia te, choć pisane były dla obcych, powinniśmy czytać my właśnie. Słyszałem zdanie, że lektura dziejów nieszczęścia wrześniowego nie jest dla żołnierza polskiego korzystna, bo wnosi weń elementy słabości, zwątpienia, klęski. Nie podzielam tego poglądu. Lektura ta daje właśnie świadomość tego, czemu trzeba zapobiegać, aby klęsk unikać; pokazuje hart i odporność polską; ujawnia ogrom katuszy, nie jednostek co cierpią za miliony, lecz właśnie milionów, co jeszcze ciągle cierpią za nas, garstkę uprzywilejowanych.

ŁUCJAN ŁAGNIEWSKI

* Nazywam się Milion /*My Name is Million*/. Z oryginału angielskiego przełożyła Teresa Jaleńska. Wydane przez autorkę. Londyn 1942. Str. 135.

ETIUDA

Jest w samym sercu parku, w Łazienkach,
w Warszawie,
pałacyk jak wspomnienie, pobielony słońcem,
w kręgu smukłych łabędzi i jesiennych pawi
i drzew odbitych w wodzie, bławe brwi
marszczącej.

Wokoło leży piano, południe daleko
i tylko stare drzewa szumią uroczyście,
jak gdyby chciały między płatkami oddechów
zasuszyć na pamiątkę świergotliwe liście.

Wiewiórki złotoryże pasą się na ścieżkach,
kucają w klombach trawy świecąc paciorkami,
przechodniów proszą świrem o parę orzeszków,
o które potem wojny prowadzą z ptakami.

Polonez wieje szumu. Tyle tu własności.
Patrz: — ta ścieżka prowadzi do Białego Domku,
ta zaś do Belwederu podgórzy się prościej,
a tą najlepiej razem chodzić do Zakątku.

A ta, co nić wywlekła i skrzydłem ocienia,
pętli się jak ten strumień, co słońce rozwiesza,
jedyna ona słucha fioletów zwierzenia
i szumiąc gałęziami jak umie pociesza.

JERZY FACZYŃSKI

Pismo internowanych w Szwajcarii

Był to jeszcze on czas szczęśliwy, kiedy nie stawiano nam do wyboru: albo do "bambra," albo do budowy drogi górskiej. Kiedy z własnej a nieprzymuszonej woli poszliśmy w kilku do okolicznego chłopa pomagać przy żniwach, pszenica stała jak las, dziewczę było hoże jak malina, moszcz zaś zimny i cokolwiek cierpki. I cierpka trochę była radość życia, jakoś bowiem nachodziły mnie chwile, kiedy nie mogłem sobie w należyty sposób uświadomić, że uszłem niewoli i znajduję się bezpieczny w wolnym i życzliwym kraju.

Minąłbym się z prawdą, gdybym napisał, że intensywnie oddawałem się pożytecznej czynności zbierania zboża i noszenia snopów na wóz, gdyż przeszkadzał mi w tym aparat fotograficzny. Ja polowałem na sceny z życia internowanych p.t. "internowani przy pracy," albo "współpraca z ludnością," koledzy zaś gwałtem chcieli mieć zdjęcia pamiątkowe, możliwie w towarzystwie t.zw. płci pięknej i we wdzięcznej pozie, n.p. malowniczo wsparci na grabiach. Kiedym się tak męczył, usiłując pogodzić te sprzeczne dążenia, nadbiegł goniec z batalionu, oświadczając, że mam się pakować, wyjeżdżam. . . .

Dokąd i po co—nie wiedział. Byłem szalenie zaskoczony, lecz nie zaniepokojony. W kancelarii uchylono rąbka tajemnicy: mam jechać do redakcji powstającego pisma, przeznaczonego dla internowanych Polaków.

Nad wieczorem przyjechałem pociągiem do miejscowości S., następnie ciężarówka (zresztą nasz poczciwy, Peugeot, prowadzony już przez szwajcarskiego szofera) wyrzuciła mnie w M. W oddanym do naszej dyspozycji pustym domostwie wskazano mi pokój, w którym zastałem już dwóch kolegów przyszłej działalności twórczej. Oficerowie zajmowali osobny pokój. Jednocześnie z nami zjechał skład redakcji projektowanego czasopisma dla internowanych Francuzów.

Minęło kilka dni, zanim się zorientowałem w składzie gremium redakcyjnego. Był więc Wódz, dyplomowany, innymi słowy — redaktor naczelny, był kapitan, sędzia wojskowy, który miał pisywać artykuły o treści moralizatorsko - ideowej oraz prowadzić dział humoru i rozrywek umysłowych, był sędzia cywilny, powołany jako tłumacz, a zarazem kierownik działu: "lekcje języka niemieckiego", wreszcie był ziemianin, chlubiący się legitymacją współpracownika jakiegoś pisma prowincjonalnego, mający prowadzić dział wiadomości z kraju. Jak się niebawem okazało, był on niezastąpionym dyliżansem, czyli pisywał na wszelkie tematy (jak na prawdziwego dziennikarza przystoi), nie wyłączając tworzenia wierszy. I był wreszcie autor tych wspomnień, po prostu dziennikarz, tutaj zwany "redaktorem technicznym" z niejakim odcieniem pobłażliwego lekceważenia, jako że był zaledwie sierżantem (cóż z tego, że rezerwy) i traktowany był (przynajmniej zrazu) nieco z góry: cóż, podoficer. . . . Po kilku dniach przydzielono podchorążego, mającego pełnić odpowiedzialną funkcję ilustratora.

Praca rozpoczęła się od zebrania połączonych obu redakcyj, naszej i francuskiej, oraz przydzielonego nam oficera prasowego, obarczonego zarazem funkcją cenzora. Obrady toczyły się w języku francuskim, nie dla wszystkich członków redakcji zrozumiałym, trzeba jednak było robić mądrą minę. Oficer wyłożył nam wytyczne, których się mamy trzymać i obiecał wszelkie poparcie. W samej rzeczy dostaliśmy maszynę do pisania z polskimi czcionkami, oraz wszelkie konieczne utensylia.

Po skończonym posiedzeniu zaczeło się drugie: wewnętrzno-redakcyjne. Kolega od "wiadomości z kraju" przy życzliwym zainteresowaniu innych zaczął zestawiać listę książek, "niezbędnych" w redakcji. Zebrała się z tego cała biblioteka, aczkolwiek nie wiadomo było, kto ma tego dostarczyć. Bo z pewnością nie poselstwo w Bernie, które przysłało nam encyklopedię Trzaski i Everta oraz parę słowników.

Role zatem były podzielone i geniusz twórczy począł krążyć nad głowami redakcyjnego gremium. Przypomniały mi się wrześniowe dni roku klęski we Lwowie, kiedy to w Szkole Kadetów improwizowaliśmy kolejny numer "Żołnierza Polskiego." Zenitówki w parku opodal szczekały zapamiętale, a niemieckie maszyny co i rusz błyskały podbrzuszem, z pod którego odrywały się połyskliwe bomby, lecąc w dół na struchlałe miasto. Wycie bomby narastało coraz bardziej. . . . Wówczas rzucało się pióro i biegło pod drzewo, by stamtąd patrzeć w oczy temu nieubłaganemu i nieodwracalnemu jak los. . . .

Wiele jednak upłynęło wody w zielonej Aarze, zanim ukazał się ten pierwszy numer pisma, nazwanego "Gońcem Obozowym." Pierwszą trudnością był brak czcionek polskich. W ogóle. Zaistniał zatem projekt pisania całego pisma na maszynie na specjalnym papierze i potem przenoszenia tego na kamień litograficzny. Dlaczego na litografię? Bo pismo miało być ilustrowane, a w Szwajcarii klisze są bardzo drogie, odpadała więc maszyna płaska. Lecz pojemność pisma, drukowanego w ten sposób, w jaki się pisze na maszynie, byłaby nader mała, poza tym układ graficzny nie odpowiadałby skromnym choćby wymaganiom estetycznym.

Mijały dni, wypełnione poszukiwaniami, wreszcie znalazła się drukarnia w Lozannie, która zaofiarowała nam komplet czcionek polskich. Wprawdzie brakowało tam wersalików, firetów i czego tam drukarze nie powypisywali, ale początek już był, można było zaczynać.

Zaczynać . . . Okazało się, że posiadane czcionki nie wystarczą na wydrukowanie ośmiu stronic formatu przedwojennego "Żołnierza." Trzeba więc było niektóre artykuły drukować garmondem lub petitem, a ponieważ te kroje pisma nie posiadały znaków polskich, należało je /czyni się to zresztą do dziś dnia/ dorabiać na specjalnym papierze, przed przeniesieniem odbitki kolumny na kamień litograficzny. Wymagało to parokrotnych wyjazdów z miejsca naszego postoju na przedmieście Berna, gdzie znajduje się nasza drukarenka.

Naturalnie wyjeżdżał "redaktor techniczny." Od właścicielki domu wypożyczał rower /czyniła to coraz niechętniej/ i ganiał tych 10 czy 11 km w jedną stronę w towarzystwie zbrojnego męża w hełmie i z karabinem, jako honorowej eskorty.

W drukarni czekały nowe niespodzianki. Przede wszystkim w osobach drukarzy i maszynistów, także internowanych. Byli oni zakwaterowani w zgoła innej miejscowości podstołecznej i nie znali zespołu redakcyjnego. Nie to zresztą było ważne. Chodziło o to, iż mistrzowie sztuki drukarskiej chcieli wiedzieć, ile za swą pracę dostaną, a właśnie konkretnych danych co do tego ani rusz nie można było wydębić od oficera prasowego. Jeden więc z drukarzy utyskiwał, że przed zabraniem go tu zarabiał przy wyrobie dywanów 3 fr. dziennie, inni uważali, że idea ideą, a czemuż to oni jedni mają pracować, kiedy właśnie w tym samym czasie reszta towarzyszy broni wygrzewa się, leżąc na słoneczku twarzą do góry? . . . Wszystkie te żale, gniewy, inwektywy spadały na biedną głowę redaktora technicznego.

Materiał był skompletowany, oddany do cenzury i w rezultacie połowa padła ofiarą humorów cioci Anastazji. Trzeba było zaczynać *da capo.* A nawet to i owo po raz trzeci. Wreszcie robota ruszyła i po paru dniach bólów porodowych pierwszy numer ujrzał światło dzienne.

Kiedy się przegląda te pierwsze numery, to "litość ogarnia i trwoga," takie to jest blade, nieśmiałe i prymitywne. Zwłaszcza układ graficzny i strona ilustracyjna. Może dlatego, że trudno się było wyzwolić z szablonów, trudno było przezwyciężyć pewnego rodzaju bierność, spowodowaną całorocznym oderwaniem się od jakiego takiego zorganizowanego życia, że za mało było fachowości, za dużo zaś doradców. . . . Zwolna, zwolna pismo nabierało wyrazu i rumieńców życia, aczkolwiek zawsze ukazanie się lub nieukazanie się materiału było zależne od widzimisię naszego kuratora, zależne z kolei od wydarzeń natury politycznej.

Po kilku tygodniach redakcję przeniesiono do m.p. drukarzy. Miejscowość była dla internowanych usposobiona bardzo życzliwie, czego dała dowód w okresie świąt Bożego Narodzenia r. 1940, kiedy to formalnie zasypani zostaliśmy prezentami i święciliśmy co najmniej trzy Wigilie, z tych jedną w obecności posła R.P. w czysto polskim gronie.

Jednocześnie nad głowami redakcji narastała złowroga chmura: /tym razem nie kwestia płac drukarskich/ — mianowicie zawieszenie pisma. Poprzedziło tę decyzję przepołowienie redakcji i oddanie części, faktycznie zajmującej się przygotowywaniem i drukiem pisma pod bezpośredni i wzmożony nacisk oficera prasowego, który postanowił nadać "Gońcowi" charakter, jaki—według niego—pismo powinno było nosić.

A więc żadnych opowiadań bojowych. To są obozy internowanych. Wspomnieniami zbrojnej przeszłości będzie czas się zajmować po skończonej wojnie! I jak najmniej o sprawach polskich. Patriotyzm powinno się nosić w sercu i niekoniecznie trzeba się o tym rozpisywać. Forsował natomiast t.zw. wiedzę o Szwajcarii. Internowani, skoro już znajdują się w tym kraju, powinni go poznać i brać z niego przykład, tu się uczyć. . . . Pod wpływem tych nowych prądów "Goniec" upodobnił się nieco do kalendarza rolniczego czy poradnika hodowlanego. Ale i to nie pomogło.

Na wiosnę r. 1941 zapadła decyzja wciągnięcia wszystkich rozporządzalnych sił do pracy nad przysporzeniem Szwajcarii powierzchni ziemi uprawnej. Internowanie się przedłużało. Francuzi wprawdzie odeszli na przedwiośniu, lecz nasi pozostawali, nie wiadomo na jak długo. Pracowity lud miejscowy bezczynność tysięcy zdrowych mężczyzn kłuła w oczy. Zresztą bezczynność ta demoralizowała żołnierza. Wobec tego postanowiono Polaków zatrudnić przy t.zw. "*Mehranbau*" i wyciągnięto z tego wniosek, że przy pracy na roli internowani nie będą mieli czasu na lekturę, a i ekspedycja pisma będzie nader utrudniona. Zatem "Goniec" nie będzie potrzebny.

Decyzji tej nie zdołały przełamać intensywne, lecz spóźnione starania oficera prasowego "Goniec" wstąpił w okres likwidacji. Część składu redakcji i drukarze, obawiając się odesłania do obozu w Büren, nie cieszącego się podówczas dobrą opinią, prosiła o odesłanie do pracy u "bambrów."

Istotnie miałem po temu szczere chęci. Patrząc na okazałe gospodarstwa chłopskie chciałem się na wszelki wypadek—nauczyć metod, dzięki którym szwajcarski stan chłopski dźwignął się na tak wysoki poziom materialny. Oficerowi, który przyjechał skontrolować stan likwidacji, wyraziłem życzenie, by mnie wysłano do jakiegoś wzorowego gospodarstwa. Spojrzał na mnie z góry i rzekł lekceważąco:

— Nauczyć się, tutaj? Polacy w Szwajcarii niczego nie chcą się uczyć. Uważają, że są od nas mądrzejsi!

Tak więc wyjechaliśmy do obozu w Büren, a po paru dniach zespół drukarski i jeden członek redakcji wysłani zostali do chłopów we wsi leżącej w kantonie fryburskim, dwaj zaś rysownicy do zamożnego gospodarza w M.

Była to "twarda orka," że zaczerpnę tytułu z poematu bodajże Gałuszki. Trafiliśmy nieszczególnie z wyjątkiem jednego kolegi-drukarza, który się dostał do wiejskiej drukarenki. Inni musieli spróbować, jak to się pracuje na wsi, jak się rąbie i nosi drzewo, ładuje i roztrząsa nawóz, oporządza bydło, sadzi ziemniaki, uprząta piwnice i t.d. i t.d. Jednej rzeczy nie mogli nas nauczyć: dojenia krów i dziwili się bardzo, że w zacofanej Polsce zajmują się tym kobiety.

Przy tej pracy zastała nas Wielkanoc. Obchodzono tutaj tylko pierwszy dzień i tego dnia, nie różniącego się zresztą niczym od zwykłej niedzieli /u mego "bambra" chyba tym, że na śniadanie do chleba było masło i konfitura z porzeczek/ widziało się pojedynczych żołnierzy lub całe grupki, szwędające się bezmyślnie po wsi. Dławił żal, wspomnienia, obcość środowiska, niepewność jutra. Trudno zaś było pozwolić sobie na pójście do jakiegoś lokalu, skoro dzienny zarobek wynosił 0,75 fr., dwie zaś szklanki lemoniady 0,80 fr.

Stopniowo, pojedynczo, po paru, pod różnymi pozorami wymykali się z tej wsi, szukając zmiany na lepsze. I kiedy w pierwszej dekadzie lipca r. 1941 przyszła wreszcie radosna wiadomość, że Komisariat dla Spraw Internowania zgodził się na wznowienie "Gońca," dawny zespół drukarski i zrekonstruowany zespół redakcyjny ściągał do M'buchsee z całej niemal Helwecji.

Lokal redakcyjny znajduje się na skraju wsi w odwiecznym drewnianym domu. Jest jasny i w zimie nawet ciepły, co jest ogromnym plusem. Pokój ten ma tę właściwość, że do południa, kiedy obecność wszystkich jest obowiązkowa, niewiele można pracować. "Tworzy" się właściwie dopiero w domu, na kwaterze, wszyscy bowiem mieszkają prywatnie.

Wewnątrz pokój redakcyjny ma wszelkie znamiona tego rodzaju lokali, gdyż jest zawalony gazetami i książkami oraz papierzyskami. Klekocą maszyny. Telefonu nie ma. W razie gwałtownej potrzeby biega się do aparatu, położonego o pół kilometra. Ściany redakcji obwieszone mapami, najrozmaitszymi obrazkami. Niektóre, nieco frywolne, musieliśmy gwoli powagi miejsca usunąć. Ich miejsce zajęła galeria portretów redakcyjnych. Są to właściwie fotomontaże, mające obrazować rzeczywiste JA każdego z oszkalowanych. Jest też ściana honorowa, obwieszona flagami wszystkich narodów sprzymierzonych i portretami czołowych mężów stanu tych państw. Pod tą ścianą siaduje dostojnie "Naczelny" i tu przyjmuje redakcyjnych gości, częstując ich czasami rzodkiewką lub pomidorem, częściej jednak dobrym słowem.

Rysownika mamy teraz tylko jednego i jednego tłumacza, jako że wszystkie teksty "Gońca" muszą być tłumaczone na niemiecki lub francuski, jest też novum w postaci sekretarza redakcji, pana o dwóch gwiazdkach, niezmiernie ruchliwego, pomysłowego i pedantycznego. Poza tym jest t.zw. pierwszy redaktor techniczny — onże kierownik literacki. W sumie zatem 6 oraz 7 drukarzy. Drukarze mają obecnie wiele pracy i wracają z drukarni dopiero o godz. 21, ponieważ drukujemy również podręczniki szkolne dla YMCA.

Nie ulega wątpliwości, że praca w redakcji w obecnym okresie idzie o wiele sprawniej, aniżeli poprzednio, co się odbija na wyglądzie pisma i jego zawartości. Ale bo też każdy numer jest szeroko omawiany przed powstaniem i krytykowany po wydrukowaniu. Czasami udział w tej krytyce biorą także czytelnicy, niekoniecznie w ramach ankiety "Krytykujmy Gońca".

Od początku drugiego okresu mamy nowego oficera prasowego, którego ustosunkowanie się do pisma i do naszych postulatów jest o wiele życzliwsze i pełne zrozumienia naszej trudnej sytuacji. Także i cenzura nie powoduje się już kaprysami, wskutek czego wiemy, czego mamy się trzymać i czego unikać. Że nie zawsze się to nam udaje świadczą białe plamy lub złośliwy — z naszej strony—napis "CENZURA". Bolączka to znana jest jednak na całym świecie.

Rzecz prosta, że nie zawsze i nie wszystko idzie tak, jakby się chciało. I zawsze obok nurtu głównego istnieje jeszcze nurt wewnętrzny, podskórny naszego indywidualnego życia. Trudno o tym wszystkim pisać, gdyż istnieje tysiące hamulców. Może kiedyś. . . . Na razie złota jesień uśmiecha się do nas rumieńcem jabłek i — w niedzielę — uśmiechami nadobnych rowerzystek, lecz to już jest "owoc zakazany". To nie Szkocja. Uśmiecha się jesień melancholią babiego lata i każe bawić się w prognozy, czy aby nie wypadnie nam przeżywać jeszcze jednej jesieni na "wywczasach" w Szwajcarii? Wierzymy, że nie. I kiedy się idzie na spacer w rejonie, którego krańcowe punkty są ściśle określone wywieszonym w sali jadalnej rozkazem, temat ten nieodmiennie wypływa z każdej rozmowy. "Na kolanach bym wracał do Polski . . ."

Sprawozdanie to nie było by kompletne, gdybym pominął nasze życie świetlicowe. Obóz nasz grupuje trzy instytucje: centralę YMCA, pocztę polową dla internowanych i zespół "Gońca." W wynajętym przez YMCA ogrodzie wiosną pracowaliśmy wspólnie i rezultatem tej pracy będzie około 600 fr., przeznaczonych na paczki dla jeńców w Niemczech. Sama świetlica również daje dochody, na ten sam cel obracany: wsparcia wszystkich cierpiących Polaków, czy to w niewoli, czy na bezkresach Rosji. Poza tym świetlica jest miejscem nie tylko wykładów, lecz i ożywionych, a czasem nawet gwałtownych zebrań, podczas których odbywają się dyskusje na różne tematy, usiłujemy bowiem zaszczepić wśród nas zasady samorządu—nie zawsze z pozytywnym skutkiem.

Słowem—trwamy. Chcemy dotrwać w jak najlepszej formie.

WITOLD WROŃSKI


GONIEC OBOZOWY
Pismo żołnierzy internowanych
ROK III W OBOZIE, DNIA 1 LISTOPADA 1942 R. NR 21 (53)
Zaduszki
. . . wszystko z tych murów pościera — oprócz krwi zapisanej na waszej katedrze:
że tem się tylko żyje, za co się umiera.
Kazimierz Wierzyński

"Shepherd of the dinghies" *

Pani Toli Korian — przypisuję

Konwój był zwykły, najzwyklejszy. Kilkanaście statków o różnym tonażu, szybkości, banderze. Trzeba było dobrze uważać, aby wszystko trzymało się jako tako kupy, bo i pogoda zaczynała robić się zwykła "konwojowa," to znaczy: sztormowo-mgłowo-deszczowa. Komodor, idący na przedzie na największym i najszybszym statku, wysforował się zanadto na czoło. Trzeba go było hamować i przypominać o "*straglersach,*" pozostających w tyle. Czas więc wypełniony był kłopotami natury gospodarczej, wewnętrznej, bo kłopotów natury zewnętrznej /tu trzeba odstukać!/ — jakoś nie było. Ścigacze rade z takiej pogody siedziały gdzieś w Cherbourgu czy Breście. "Heinklom" też widocznie nie uśmiechała się kanałowa zadymka. Mieliśmy więc spokój.

Wieczorem sztorm wzmógł się jeszcze. Spokój więc na noc był prawie murowany. Zmartwieniem jedynym było to, że konwój za bardzo się rozciągnie i jutro z rana trzeba będzie spędzać rozbite stadko.

Przewalając się z burty na burtę, posuwamy się siedmioma węzłami, wybierając od czasu do czasu jakiś mniej kiwający kurs. Taktycznie nazywa się to zygzakowaniem. Około godziny 20-ej odebrano depeszę, nakazującą odłączenie się od konwoju i udanie się na pozycję X, celem podniesienia lotników.

W kabinie nawigacyjnej poruszenie. Dowódca z oficerem nawigacyjnym nanoszą na mapę pozycję, odmierzają kursy. Wreszcie gotowe. Nadajemy na jeden z trawlerów sygnał, polecający mu pełnienie obowiązków dowódcy eskorty i nie bez pewnej przyjemności odchodzimy od konwoju w czarną, siekącą deszczem noc.

Dowódca przyszedł na pomost. Dobrze, że kurs na pozycję jest z wiatrem i falą. Możemy zwiększyć szybkość.

—"Daj pan 40 obrotów więcej" — zwraca się do oficera wachtowego.

Trzyma się dobrze, nie trzepie. Jeszcze 40 obrotów więcej.

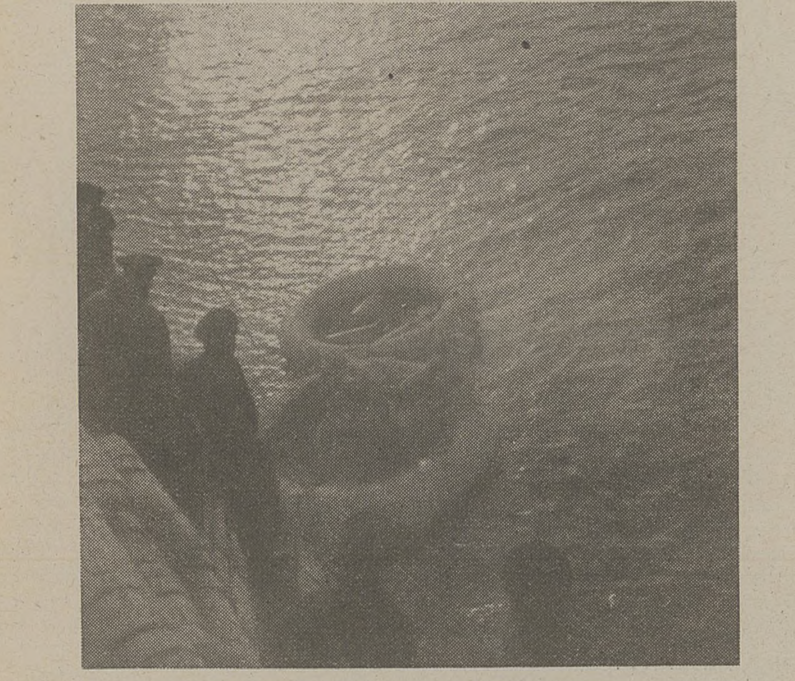
—"No, dodajmy jeszcze 20 obrotów."

Kontrtorpedowiec nabierając szybkości, nabiera jednocześnie życia. Przechyły przestają być leniwe. Wachta już przez samą szybkość jest bardziej urozmaicona, obserwacja bardziej ostra, czas mniej się dłuży. Sternik ma mniej trudności w utrzymaniu na kursie; palaczom jedynie nie w smak czujniejsza uwaga na manometry i szkła wodowskazowe.

Cały okręt już wie, że idziemy po rozbitków. Z radiostacji, z pomostu i mesy wiadomość przesącza się bardzo szybko. Jesteśmy tutaj zamkniętym w sobie małym światkiem, który przeżywa wszystkie wieści z zewnątrz, wszelkie wydarzenia nocy i dni z tym samym napięciem — od dowódcy do kandydata-sygnalisty. Idziemy po lotników. Wolne wachty nie kładą się spać, aby w razie czego nie przegapić okazji. Jest w tym trochę ciekawości, trochę przedwczesnej dumy, że "my ich wyciągniemy," i dużo ludzkiego współczucia dla biedaków, walczących teraz na małej *dinghy* ze sztormem i nocą. Okręt wydaje się bardziej, niż zwykle przytulny i bezpieczny — jest przecież jakimś dachem, użyczającym schronienia w tę burzliwą noc.

Około godziny 22-ej jesteśmy na miejscu. Widoczność prawie żadna. Gdzie ich szukać? Dowódca z nawigatorem kalkulują prawdopodobny dryf, możliwe błędy pozycji i wykreślają na mapie prostokąt prawdopodobieństwa, w którym mogą znajdować się lotnicy. Mój Boże, boki "prostokąta" mają po kilkanaście mil, a widoczność na pół mili najwyżej. Poza tym fala i deszcz . . . Żeby choć mieli jakieś rakiety.

Idziemy szerokim zygzakiem przez środek prostokąta. Cały pomost skupiony. Kandydat-sygnalista i dowódca jednakowo silnie przywierają oczyma do lornetek, które co chwila trzeba przecierać suchym zamszem.



Podchodzimy do dingh

Nie widać nic. Dowódca decyduje się na wystrzelenie kilku pocisków oświetlających.

—"Kąt kursowy prawo 90, oświetlenie krótkie. Uwaga pal!"

Buczek, przytłumiony huk i duża żółta gwiazda spada z chmur. Kilkanaście par oczu z podwójną uwagą śledzi teraz oświetlony sektor. Nic . . .

—"Kąt kursowy 180 — Uwaga —pal!"

I za rufą nic . . .

—"Kąt kursowy lewo 90. Uwaga — pal!"

Chmury są niskie. Pocisk oświetlający rozrywa się w chmurze i poprzez zaporę deszczu i mgły rzuca na rozwichrzone grzbiety fal chińskie cienie. Nie widać nic . . .

Naraz okrzyk:

—"Prawo 30 — światło na wodzie!"

—"Gdzie? Jak daleko?"

Znowu kilkanaście par oczu z napięciem i uwagą przepatruje wskazany odcinek. Nie widać nic. Sygnalista, który zameldował światło, twierdzi, że widział napewno.

Dowódca każe zapalić duży reflektor. Zastępca patrzy na niego ze zdziwieniem. Reflektor w nocy na morzu? Na szlaku okrętów podwodnych? To prawie samobójstwo.

—"Tu chodzi o życie ludzkie" — odpowiada na to nieme pytanie dowódca.

—"Reflektor pali."

—"Przeszukać prawą burtę."

W poruszającym się od dziobu ku rufie snopie reflektora drżą krople deszczu. Strumień światła oświetla grzbiety fal.

—"Światło! Światło na wodzie!" — krzyczy sygnalista.

Istotnie — w smudze reflektora widać drobne, błękitne światełko.

—"Prawo na burt." — Idziemy na nie.

Niestety, to tylko resztka magnezjowej masy pocisku oświetlającego. Tli się już tylko. Zgasła . . .

—"Zgasić reflektor."

Zygzakujemy dalej — bez wiary zresztą, że coś znajdziemy. Taki psi czas . . .

O północy przyszła depesza. O ile poszukiwania nie dały wyniku, dołączyć do konwoju. Przechodzimy jeszcze raz po przekątnej prostokąta i kładziemy się na kurs, dopędzający konwój.

Dogoniliśmy go nad ranem. Rozlazł się oczywiście, ale byliśmy już w bezpiecznej strefie.

Do ropowca dobiliśmy około południa. Kąpiel, obiad i spać, spać . . .

W nocy przyszedł sygnał, nakazujący natychmiastowe pogotowie maszyn. Nad ranem drugi, z rozkazem odkotwiczenia.

Było jeszcze całkiem ciemno, gdy kontrtorpedowiec przechodził portowe bony. Za bonami dowódca i nieodłączny nawigator zaczęli studiować rozkaz odkotwiczenia. Znowu mamy szukać lotników.

Do podanego sygnałem miejsca rozbicia około 300 mil. Najkrótsza droga prowadzi przez pole minowe. Kursy wykreślone. Idziemy. Byle by tylko dopisała pogoda, można iść dużą szybkością.

Jest szarawo. Przedświt pogodnego, listopadowego dnia na morzu. Okręt jakby zachłystuje się swymi 300 obrotami i kraje pozostałą po sztormie martwą falę.

—"No, może spróbujemy 10 obrotów więcej" — rzuca dowódca.

—"Dziobu nie zalewa, a więc jeszcze 10 obrotów więcej."

Dochodzimy do 350 obrotów. Mechanik melduje na pomost, że przechodzi na wachtę bojową, bo cały dzień taką szybkością . . . Panie Święty! Na wszelki wypadek . . .

Nie zwraca się uwagi na tę trochę "rezerwową" formę meldunku. Niech tam, byle wszystko dobrze się kręciło.

Pogoda dopisuje. Grzejemy po kawalersku — 350 obrotów. Morze wygładziło się zupełnie. Było tak spokojnie, jak spokojnie jest w niedzielne popołudnie na polu.

Dzień upłynął bez zdarzeń. Przed wieczorem wyłonił się zza strzępiastych chmur "Sunderland." Pytamy, czy widział *dinghy*. Samolot odmruguje, że nie. Podajemy mu pozycję lotników — 40 mil przed nami, na naszym kursie. "Sunderland" zawraca, nalatuje na nas, aby położyć się na dobry kurs i znika w chmurach.

Idziemy dalej, czekając na meldunek. Napięcie rośnie. Przedwieczorne gawędy koło komina i rufowej nadbudówki mają jedyny temat: czy ich znajdziemy.

Po pół godzinie samolot wraca. Wszyscy starają się odczytać znaki Morse'a.

—"Na kursie lotników nie ma. O zmierzchu wracam do bazy. *Good Luck.*"

—"Nie ma więc potrzeby iść dalej tym kursem" — zwraca się dowódca do nawigatora. — "Chodźmy do mapy."

Schodzą obaj do kabiny nawigacyjnej. Na mapie nakreślone kółko — podana pozycja *dingh*. Dowódca, patrząc w to kółko, porusza nerwowo cyrklem do mierzenia odległości. Tu ich nie ma. Gdzie też ich mogło zdryfować? Jaki kurs wybrać?

Nawigator stoi obok i milczy. Cóż tu można poradzić? Samolot przecież przepatrolował 40 mil z polem widzenia na kilka mil w bok. Dokąd iść?

Dowódca wsparł głowę na dłoni. Nie widzi mapy, nie widzi punktu pozycji . . . Widzi tylko gdzieś tam na morzu małą tratwę, jakieś twarze zmęczone i wypatrujące pomocy. "Boże, Boże, pozwól ich odnaleźć — natchnij dobrą myślą, dokąd mam iść" — modli się.

Znowu rzut oka na mapę i zwraca się do nawigatora.

—"Zmieniamy kurs na 270. Idę na pomost."

Po chwili okręt, przechylając się na burtę, zatacza łuk — zwrot na *west*.

—"Zwiększyć obserwację" — poszedł rozkaz z pomostu.

Dowódca stoi na skrzydle. Opadają go wątpliwości, czy dobrze zrobił, decydując się na ten właśnie kurs, czy nie należało iść raczej na podaną pozycję. Być może, że "Sunderland" przegapił. Czym się usprawiedliwi, jak ich teraz nie znajdzie?

Nastał zupełny zmrok. Podoficer służbowy dolnych pokładów zameldował światłoszczelność okrętu. Na niebie wzeszły pierwsze gwiazdy.

O godzinie 20-tej nawigator objął wachtę.

—"Jak długo pójdziemy tym kursem?" — zwrócił się do dowódcy. — "Może zawrócimy na pozycję?"

Dowódcę opadły wątpliwości na nowo. A może rzeczywiście zawrócić? Zadecydował jednak, nie zdając sobie sprawy właściwie dlaczego, iść tym kursem dalej.

—"Pójdziemy jeszcze pół godziny" — odpowiada nawigatorowi.

Pół godziny mija.

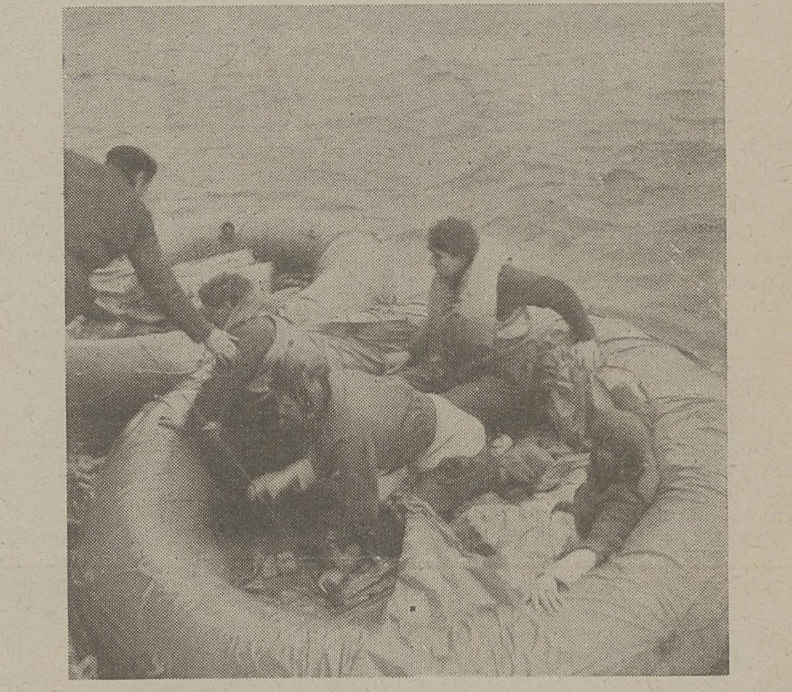
—"Niech pan zejdzie na dół i obliczy kurs na pozycję. Zawracamy."

Nawigator wraca po chwili z kursem. Okręt wykonuje zwrot. W tym samym momencie obserwator przy dziale dwa melduje:

—"Prawo 160 światło!"

Wstrzymujemy zwrot. Zawracamy na stary kurs. Kurs 270. Istotnie widać światełko. Białe wybłyskowe. Później drugie, trzecie . . .

Zmniejszamy szybkość. Strzelamy białą rakietę. Widać wreszcie w poświacie *flar* dwie tratwy. Na jednej z nich ludzie.



Podnosimy lotników

—"Skasować obroty. Obie maszyny wolno naprzód. Uprzedzić zastępcę i lekarza, że podnosimy lotników. Podchodzę do nich lewą burtą" — padają rozkazy.

Na pokładzie już rojno. Zastępca organizuje partię "wyciągaczy." Obie *dinghy* widać wyraźnie. Ludzie machają rękami. Prawdopodobnie coś krzyczą, ale ich nie słyszymy.

—"Obie maszyny stop. Obie wolno wstecz."

Tratwy są na wysokości dziobu. Obie stop. Z okrętu rzucają rzutkę, podciagają tratwy pod burtę. W jednej ludzie, w drugiej uratowany z samolotu sprzęt.

Cała załoga, z wyjątkiem maszynistów będących na wachcie, na pokładzie. Każdy chciałby pomóc przy wyciąganiu, przy przenoszeniu do izby chorych, do mesy. Na pomoście wszyscy przechyleni przez burtę obserwują podnoszenie uratowanych.

Dowódca stoi sam na drugim skrzydle i zastanawia się, czemu właściwie wybrał ten kurs. Intuicja, natchnienie, czy też modlitwa którejś z matek . . .

Po kwadransie zastępca zameldował:

—"Podniesiono sześciu lotników. Wszyscy zdrowi. Przebywali na wodzie 50 godzin."

Nawigator podaje kurs powrotny. Wracamy.

Oficer łącznikowy układa depeszę do bazy. Za godzinę nadchodzi odpowiedź:

—"Idźcie na pozycję Y podnieść lotników."

Kładziemy się na nowy kurs. Na pozycji będziemy o świcie.

Noc minęła spokojnie. Lotników poumieszczano w mesie i po kabinach. Otuleni w poczwórne koce, po herbacie z rumem, spali twardo.

O godzinie ósmej z rana byliśmy na nowej pozycji. Horyzont złocił się słońcem. W powietrzu pachniało więcej wiosną, aniżeli Dniem Zadusznym. Morze było spokojne, lekko pomarszczone słabym, południowym wiatrem. Pusto, ani śladu *dingh*. Od czasu do czasu jedynie delfiny pokazywały tłuste grzbiety, harcując wokoło okrętu.

Dowódca postanawia iść z wiatrem jako ewentualnym kierunkiem dryfu. Po pół godzinie ukazały się cztery samoloty. Nie rozpoznane.

—"Odległość 20.000" — melduje dalmierzysta.

—"Nie dają rozpoznawczych" — melduje sygnalista.

—"Odległość 15.000" — następny meldunek.

—"Lecą od słońca jak do ataku" — zauważa oficer wachtowy.

—"Alarm przeciwlotniczy" — decyduje dowódca.

Nie przebrzmiały jeszcze dźwięki klaksonu alarmowego, gdy jeden z samolotów rzucił rakiety rozpoznawcze. Jednocześnie nawigator, spec od sylwetek, zidentyfikował:

—"Hudsony."

—"Odbój."

Samoloty zbliżyły się. Pytamy Morsem, czy nie zauważyły lotników. Coś tam morsują, ale nikt nie może odczytać. Odlecieli.

Za pół godziny znowu samolot, ale tylko jeden. Niezawodny nawigator rozpoznaje znowu "Hudsona." Pytamy, czy czegoś nie widział. I znowu nie można dojść do porozumienia. Nadaje jakieś oddzielne litery, z których nie można sklecić zdań. Niech go diabli! — dlaczego oni nie mają porządnych morsistów?

"Hudson" nie daje za wygraną. Zrezygnował coprawda z morsowania, ale krąży nad okrętem, macha zapraszająco skrzydłami i wyraźnie czegoś chce.

—"A może pójdziemy za nim?" — podsuwa oficer wachtowy.

—"Zgoda. Idziemy" — decyduje dowódca.

Zawracamy za samolotem. Zwiększamy szybkość.

Po godzinie znowu widać samoloty, które nad czymś krążą. Podchodzimy bliżej. Znowu chwile napięcia. Czy rzeczywiście *dinghy*. Wreszcie meldunek sygnalisty:

—"Lewo 5 — *dingha*!"

Jeszcze kilka minut i widać ją wyraźnie.

Samoloty krążą nad nami przez cały czas podnoszenia lotników. Po podniesieniu zastępca melduje:

—"Czterej lotnicy podniesieni. To ci sami, których szukaliśmy dwa dni temu. Widzieli nasze pociski oświetlające. Niestety nie mieli żadnych rakiet. Przebywali na morzu 72 godziny. Dwóch zginęło przy rozbiciu samolotu. Należą do tego samego *Squadronu* co wczorajsi."

Wszyscy są bardzo uradowani. Dziesięciu lotników — dziesięciu towarzyszy broni uratowanych.

Oficer łącznikowy wychodzi na pomost.

—"Jaki sygnał wysłać, *sir*?" — zwraca się do dowódcy.

—"*Four airmen picked up. Condition satisfactory.*"

Po sekundzie z przekornym uśmiechem dowódca dorzuca zakończenie depeszy: "*Next please.*"

Po godzinie admirał przysłał odpowiedź:

—"*Well done. Next in base.*"

LEOPOLD MILANOWSKI

---

* Tym mianem — pasterza, zbierającego zgubione w przestrzeniach morskich łodzie ratunkowe lotników — obdarzyła prasa brytyjska ORP "Ślązak" po akcji, stanowiącej temat niniejszego opowiadania. Wszystkie podane w nim szczegóły są najściślej prawdziwe. Pominięto tylko — ze zrozumiałych względów — informacje co do czasu i miejsca opisanych zdarzeń. /przyp. red./

Bez black-outu

Dopiero teraz, objeżdżając Południe Anglii, podziwiając "white cliffs of Dover" i inne wynunięte nad Kanałem bastiony wyspy brytyjskiej, możemy sobie w całej pełni uzmysłowić, co przeżywały małe miasteczka w południowej Anglii w okresie "blitzu," skoro dziś jeszcze muszą żyć w nieustannym pogotowiu i napięciu nerwowym.

Małe miasto A. narażone na stały niemal atak z powietrza /obecnie tylko "singlów"/ przeżyło do tej pory ponad 2400 alarmów przeciwlotniczych od początku wojny. W ciągu czterech dni naszego pobytu w tym mieście rekord ten zwiększył się znacznie, gdyż w jednym tylko dniu zanotowaliśmy 7 alarmów.

Miasteczko A. jest świetnie zdyscyplinowane. Ma specjalną obsługę "syrenową" bardzo pomysłową. Pierwszy raz słyszeliśmy w czasie tej wojny tak zwany alarm "overhead," który przypomina dźwiękiem gwałtowny klakson autobusu przepychającego się przez tłum ulicy. Syrena taka oznacza, że nieprzyjacielski samolot znajduje się nad głowami przechodniów i lada chwila może nastąpić bombardowanie lub ostrzeliwanie ulicy. Nie można nie podziwiać spokoju, równowagi i organizacji wewnętrznej takiego jednego choćby A.

W czasie ostatniego nalotu na miasto, jakiś pojedynczy samolot niemiecki ostrzelał ulice i zranił kilka osób. Opowiadano mi o ciężko rannym "driverze" autobusu, który ociekając krwią, prowadził wóz dalej, aż do normalnego przystanku, gdzie formował się rozproszony chwilowo ogonek. "Driver" doprowadził autobus tam, gdzie stał "queue," podniósł kciuk do góry i omdlał z upływu krwi. "Queue" był bardzo wzruszony, ale powszechnie uważano to zdarzenie za rzecz zupełnie naturalną, gdyż "driver" był "on duty" i wykonał swoje zadanie. Tak oni tłumaczą na język codzienny słowo: obowiązek.

* * *

W tym samym niepokojonym alarmami A. spotykamy w hoteliku dość komercjalnym i dość przesyconym "spiritem" ciekawą postać. Jest to młoda córka właściciela hotelu, bardzo smutna lub . . . bardzo pijana. Jej mała, urocza córeczka Juliette bawi się z nami w hallu hotelowym. Oburzamy się, że młoda matka stojąc przy bufecie, zapija się od wczesnego rana, a idąc wieczorem do swego pokoju dosłownie ledwie trzyma się poręczy na klatce schodowej. Jest nam jakoś dziwnie przykro, gdyż uroda jej kontrastuje z tym opilstwem, a urok dwuletniej Julietki kłóci się z tym tajemniczym nałogiem młodej matki.

W drugim dniu naszego pobytu w tym hotelu otrzymujemy wyjaśnienie i . . . przestajemy się oburzać. W pokoiku smutnej pani, obok portretu młodego oficera brytyjskiego wisi w ramce arkusik z podpisem Króla Jerzego VI. Król łączy się w bólu z rodziną i współczuje. W jednym z ostrych ataków brytyjskich w Afryce poległ ojciec małej Julietki. Nie widział jej wcale. Wybierał się na urlop w marcu, poległ w styczniu.

Pani nie płacze, tylko gdy jej matka pokazuje nam pismo królewskie, ucieka pośpiesznie z pokoju, a w chwilę po tym pije kieliszek za kieliszkiem długo, do nieprzytomności. A my jakoś tkliwiej, bardziej miękko obejmujemy maleńką Julietkę, wymyślając najlepsze zabawy i najweselsze żarty. Dziecko śmieje się beztrosko, głośno . . .

* * *

Miasteczko F. w tej samej okolicy zagrożonej i alarmowanej, gości nas bardzo serdecznie. Mer miasta oprowadza nas osobiście po starych uliczkach zapraszając do wiekowej, bo 500 lat liczącej, sali Guildhallu, gdzie mieści się równocześnie sala posiedzeń magistratu i sąd merowski. Mer miasteczka ma specjalny przywilej, nadany jeszcze przez Tudorów, na mocy którego bierze udział w koronacji każdorazowego króla Wielkiej Brytanii. Mer, który nas oprowadza, już piąty rok z kolei sprawuje swój urząd. Jest człowiekiem jowialnym. Podziwiamy jego prostotę: nie jest nadęty ani ważny, przeciwnie lekko traktuje "wagę" merostwa i wiekową tradycję sali, do której nas wprowadził.

W pewnym momencie usadza mnie na swoim miejscu za wysokim pulpitem prezydialnym, a sam dla "joku" staje na ławie oskarżonych. Jest zachwycony swoim kawałem i prosi, abym go sądził; bawi się z nami i śmieje. Po tym, bez kapelusza, bez sztabu sekretarzy i "cmoczkierów," bez pawiej miny idzie z nami na piwo do miejscowego skromnego baru przy stacji kolejowej.

Smutno mi się zrobiło, gdy spróbowałem odtworzyć sobie wizytę wojskowego zespołu angielskiego w małym miasteczku polskim z epoki "ozonowo-nadętowej." Nie obeszło by się bez przecięcia paru wstążek, wbicia kilku gwoździ, akademii "ku czci" albo "dla uczczenia," napewno kropnąłby ktoś mowę półgodzinną i półsensowną, a przedstawiciel władzy samorządowej chodziłby otoczony zastępami policji, oddzielającej najmizerniejszego dygnitarza od społeczeństwa nieprzerwanym, zimnym kordonem.

Mer w miejscowości F. szedł z nami przez swoje miasteczko, policjanci uśmiechali się do niego, żaden nie stawał "na baczność," a mieszkańcy pozdrawiali go przyjaznym: "hallo." Mówił nam długo o polskich lotnikach. Mówił z prawdziwym wzruszeniem i głębokim uznaniem. Miasteczko samo nie gościło nigdy lotników polskich, ale zna ich . . . z powietrza. Zna ich z okresu "Battle of Britain." Wspomina dnie, gdy w tym pamiętnym okresie strącali nad miasteczkiem samoloty nieprzyjacielskie, tocząc na oczach mieszkańców pojedynki powietrzne z Niemcami.

Pamiętają Anglicy z F. naszych bohaterów i jak legendę powtarzają sobie opowieść o pilocie polskim, który po wyczerpaniu amunicji, wbił się całym aparatem w kadłub przeciwnika i runął wraz z nim w okolicy F. Mer mówi o tym głosem przyciszonym, ale mówi z dumą. Dodaje przy tym charakterystyczną uwagę: — "My Anglicy zawsze po impecie i po technice walki poznawaliśmy Polaka w starciu powietrznym z nieprzyjacielem nad dachami naszych domów."

Jest jeszcze jedna więź, która silnie łączy miasteczko F. z Polakami. F. ufundowało samolot "Spitfire," który nosił nazwę miasta. Samolot wszedł do służby na jesieni roku 1940. W kilka miesięcy po tym przyszło pismo z "Air Ministry" zawiadamiające, że samolot chlubnie spełnił swoje zadanie i przepadł w walce. Na samolocie F. zginął polski lotnik-myśliwiec. Miasteczko zna jego nazwisko i wpisuje je złotymi głoskami do swojej historii.

* * *

303 dywizjon witamy po raz piąty na innym miejscu postoju. Jak zawsze serdecznie, jak zawsze z drżeniem serca szukamy znajomych. Z radością odnajdujemy przyjaciół. W milczeniu oglądamy nowe karty książki pamiątkowej, przepełnionej fotografiami tych, którzy nie powrócili . . . To milczenie — to coś więcej, niż modlitwa.

Jak w każdym dywizjonie tak i tutaj spotykamy wysoko awansowanych znajomych, których piersi w szybkim czasie pokryły zasłużone odznaczenia polskie i brytyjskie: D.F.C. z "barem," potrójny Krzyż Walecznych . . . Cieszymy się szczerze ich szczęściem i zasługą, ściskamy długo, a po tym obdarowujemy dywizjon piosenką i śpiewamy długo z nimi po przedstawieniu:

"... Nad lądy i nad morza
Idzie nasza 303,
Zdziwiły się przestworza,
A nam mocniej serce drży.
Zwycięstwa nad nią zorza, z nią
nasza każda myśl;
Za Lwów, Warszawę i Westerplatte,
Kutno, Modlin, Hel.
Za tyle łez i za tyle krwi wyraźny
ma dziś cel
Nad lądy i nad morza idzie
eskadra 303 . . ."

Piosenka śpiewana była w naszym programie w r. 1940, ale los piosenki bywa kapryśny, więc dopiero teraz stała się ona marszem dywizjonu.

* * *

Spotykamy ich wszędzie, tych samych, zawsze skromnych, cicho przyznających do siedemdziesięciu i osiemdziesięciu dokonanych lotów, do "małych" zwycięstw, do własnych kraks i "wodowań." Na lotnisku w N. cieszymy się widokiem wielu znajomych z dywizjonów: Dęblińskiego, Krakowskiego i Toruńskiego.

Daremnie jednak wypatrujemy wśród nich bohatera 108 lotów bojowych, drogiego nam Przyjaciela. Nie powrócił z jednej wyprawy myśliwskiej. Los Jego jest niepewny. Był to 108, ostatni lot operacyjny, po którym miał przejść na inne, odpowiedzialne stanowisko. Choć nie spotkaliśmy Go w N. wierzymy, że żyje, że zejdziemy się znowu, by śmiać się wesoło z jego opowiadania góralskiego, które weszło do "żelaznego" repertuaru "Lwowskiej Fali" jako "Kirieelejson." Daliśmy Mu kiedyś taki przydomek, wywróżyliśmy "majora," gdy był kapitanem, a "pułkownika angielskiego," gdy był majorem. Cały "wing" kochał go napewno tak jak my, gdyż był nie tylko świetnym dowódcą, ale i dobrym kolegą. Był Człowiekiem.

Wiara nasza jest mocna. "Kirieelejson" powróci . . .

* * *

Na niektórych polskich lotniskach po raz pierwszy spotykamy i z prawdziwą przyjemnością witamy przydzielone tam świetliczarki polskie. Pani Ewa T. czy p. Loda B. i ich koleżanki w innych dywizjonach oddają cały dzień swój, całą umiejętność tej pracy, która, specjalnie wśród lotników, musi być nacechowana dużą dozą ciepła i tkliwości. To było od dawna takie potrzebne. Namawiałem do tego jeszcze po pierwszym naszym objeździe lotnisk w roku 1941.

Realizujemy pewne rzeczy, ale z opóźnieniem: dwa lata minęły. Nie ma już dziś na lotniskach tych ludzi, z którymi dyskutowałem tę sprawę. Prosili oni wtedy o polską służbę świetliczarek, wyrażali zdziwienie, że w Szkocji służbę tę tak rozbudowano, a nie pomyślano o roli jednej choćby kobiety polskiej na lotnisku, która doglądałaby żołnierza będącego codziennie w walce.

Wystarczy dzisiaj zamienić kilka słów z szeregowymi czy oficerami lotnictwa na temat przydzielonych przed kilkoma miesiącami świetliczarek, by przekonać się o tym, jak bardzo wdzięczną, jak bardzo pożyteczną pracę podjęły te — niestety jeszcze nieliczne panie — w polskich dywizjonach lotniczych.

Powie ktoś: lepiej późno niż nigdy. Ale ja powiem: lepiej wcześniej, niż późno. Przekonałem się raz jeszcze, że właśnie im, tam na lotniskach potrzebna jest przede wszystkim taka dyskretna, miękka opieka kobieca, bo przypomina ona dom rodzinny: matkę, siostrę, czy żonę, stwarza atmosferę ciepła, daje chwilowe złudzenie spokoju w tej pracy, która jest nieustannym pokonywaniem niebezpieczeństw.

* * *

W Londynie spotkałem lotnika w kłopocie. Niezwyczajny to był lotnik. Natomiast kłopot był bardzo prozaiczny. Lotnik należał do załogi, która została strącona nad terytorium nieprzyjacielskim i dostała się do niewoli. On jeden zdołał uciec i wędrując długo przez różne kraje, dostał się z powrotem do Wielkiej Brytanii. Pamiętam jak kiedyś serdecznie witaliśmy jego powrót do dywizjonu. Dziś lata znowu. Przyznacie więc, że lotnik niezwyczajny, a w dodatku nawet . . . nieodznaczony. Co więcej! Największe trudności w "podróży" na swojej trasie miał . . . w polskich urzędach w Londynie po szczęśliwym powrocie.

Ale, ale wracamy do prozaicznego kłopotu niezwykłego lotnika. Gdy go spotkałem niósł on w teczce 20 par skarpetek do cerowania. Lotnisko, na którym pełni służbę, jest całkowicie odcięte od świata. Przywiózł więc skarpetki do Londynu i nawet był w pewnej instytucji polskiej, pytając czy i gdzie mógłby je ktoś pocerować. Podobno uprzejma informatorka odpowiedziała mu, że nikt się tym w Londynie nie zajmuje, więc łaziliśmy razem po ogromnym mieście i szukaliśmy rady. W końcu w jakiejś angielskiej szwalni obiecano mu za cenę £2 wycerować skarpetki w terminie dwutygodniowym.

Każda wielka sprawa ma swoje małe kulisy, każdy bohater musi mieć całe skarpetki. Myślę, że oprócz wierszy, pieśni i westchnień trzeba poświęcić lotnikom polskim także trochę inwencji i czasu na mniej patetyczne rzeczy jak: cerowanie skarpetek, przyszywanie guzików, naprawianie bielizny. Tylko trzeba to zrobić zaraz, a nie za rok, bo wtedy już napewno ich pięknie "opiorą" i "wycerują" matusie, siostry i żony w Polsce.

A nam będzie wstyd.

WIKTOR BUDZYŃSKI

"Listy z Ameryki"

W związku z bardzo dużym zainteresowaniem, jakie okazali Czytelnicy "Polski Walczącej," w sprawie nawiązania i stałego prowadzenia korespondencji z Rodakami w U.S.A. — powstała obecnie konieczność ujęcia całego zagadnienia przez właściwą instytucję.

Wszystkie adresy zostały oddane do dyspozycji Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1, dokąd należy kierować wszystkie zgłoszenia wprost lub też przez Redakcję "Polski Walczącej."

Dziękując Redakcji "Polski Walczącej" za okazanie zrozumienia i poparcie całej akcji, jednocześnie pragnę zaapelować do wszystkich Czytelników o pisanie listów do U.S.A.

Piszcie, przesyłajcie polskie wydawnictwa, podtrzymujcie i pogłębiajcie polskość.

Informujcie, informujcie i jeszcze raz informujcie społeczeństwo amerykańskie o NASZYCH celach, dążeniach i walkach . . za Waszą wolność i naszą!

Dziś, sprawa ta jest bardziej, niż PILNA.

Jerzy Laszkowski

Skrzynka pocztowa

PRZECIW SZKODLIWEJ PUBLICYSTYCE

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z pewnymi artykułami, które ukazały się ostatnio w "Polsce Walczącej" i innych pismach polskich, dotyczących działalności 5-tej kolumny wśród naszych oddziałów w Szkocji, oraz innych — dotyczących partyjnictwa i braku zgody wśród nas samych — nie mogę się oprzeć pokusie przesłania kilku myśli, które mi się nasunęły po przeczytaniu tych artykułów.

Nie wiem, czy nie popełnię tutaj kilku omyłek w osądzaniu życia emigracji angielskiej; jestem jednym z tych, którzy dopiero co przybyli z obcych krain do "wyśnionego kraju bohaterów walczących za Polskę" /jak to określił podobno żołnierz przemawiający w Londynie/ i nie mogę się oprzeć uczuciu żalu i niesmaku, kiedy ciągle i na każdym kroku widzę publicystykę kłótni i partyjnictwa, choćby w formie ich krytyki. Jeżeli tyle się o nich pisze, to znaczy, że one istnieją.

A czy naprawdę tak jest? Czy naprawdę nie możemy się pozbyć tej autosugestii partyjnictwa? Czy naprawdę nie mamy już o czym pisać, jak tylko o rzeczach nas dzielących, zamiast o rzeczach, które nas łączą? Tego rodzaju publicystyka jest wręcz szkodliwa, bo wpaja w nas przekonanie, że te partie i niezgoda — to tak musi być, że to rys naszego charakteru narodowego, podczas gdy jest to tylko kwestia wstrzemięźliwości samych krytyków, kwestia skoncentrowania myśli na kraju, Ojczyźnie i rzeczach nas łączących, a nie — dzielących.

Zapewniam Pana Redaktora, że u nas, prostych żołnierzy problem niezgody czy rozdziału na grupy po prostu nie istnieje i nie ma żadnego powodu ku temu, by nasza inteligencja i literaci nam ten problem sztucznie narzucali. Ci, którzy przybywają do oddziałów polskich, szukają narodu, szukają swoich braci i ducha wspólnoty, a nie jakichś partii czy grup. Dlatego też czują niesmak, kiedy im prawić i doszukiwać się czegoś, co nie istnieje.

Czemu nie zostawić na boku tych wszystkich niemiłych spraw i nie pozostawić krzykaczy samym sobie. Wszak żyjemy w demokracji; niech mówią, co im się podoba, a rzeczą publicystyki powinno być nie zajmowanie się nimi, lecz dostarczanie ogółowi tego, czego żąda jego zdrowa tendencja — tego, co nas łączy, wzmacnia i upewnia w naszej jedności, tego co rozwija nasze dobre strony, a niszczy wady i niedociągnięcia.

Nie mogę się tutaj oprzeć połączeniu publicystyki tych naszych wad i kłótni z działalnością 5-tej kolumny wśród nas, o której pisze p. W. Budzyński w "Bez blackoutu" w nr. 7 "Polski Walczącej" z b.r. Pisze p. Budzyński, że w niektórych oddziałach zjawiają się jednocześnie teorie o Polakach "walczących za Anglików," o "dżemojadach" i t.d. — I pocóż o tym wszystkim pisać w piśmie przeznaczonym dla żołnierzy? Po prostu nieświadomie p. Budzyński pomaga Niemcom. Ja sam, i jestem przekonany, że i wielu innych, dowiedziało się o tym dopiero z gazety; a taka publicystyka i rozpowszechnianie destrukcyjnych teorii to jest to do czego niemiecka 5-ta kolumna dąży. Pocóż im pomagać?

My nie tego szukamy w naszych gazetach. Czy nie prościej byłoby te rzeczy donosić odpowiednim czynnikom i zwalczać lokalnie przez oficerów oświatowych i lokalne ostrzeżenia, zamiast rozdmuchiwać sprawę wszem i wobec po całej prasie. Taka publicystyka dąży tylko do wzmacniania przeświadczenia, jakie się utarło na początku tej wojny, a szczególnie podczas kampanii francuskiej — o rzekomej wszechpotędze i wszechwiedzy Gestapo, co jest oczywiście tylko jedną z bajeczek propagandy niemieckiej, którą na szczęście potrafiliśmy już zwalczyć.

Również wobec Anglików człowiekowi głupio, kiedy, jak jeden z moich znajomych powiada, że czytał w "Daily Mirror" o tym, że wśród oficerów polskich w Szkocji rozdawano jakieś ulotki antyangielskie, antybolszewickie i antyżydowskie i że to podobno działalność 5-tej kolumny. Cóż takiemu Anglikowi odpowiedzieć i pocóż takie wiadomości w prasie? Czy niemieckie Gestapo jest naprawdę aż tak sprawne, aby jeszcze teraz znajdować wśród nas pole do popisu? Czy nie lepiej pokrzyżować ich plany publicystyczne i propagandowe i zwalczać je pocichu, a skutecznie?

I znowu czemu narzekać publicznie na Anglików, jak p. Z. Nowakowski w art. "Dwa dzwony" /Wiadomości Literackie" nr. 5/151/ / i wytaczać żale przeciw nim? To tylko informuje Niemców, gdzie nas mogą pokłócić. Jeżeli istnieją niedociągnięcia, to należy je zwalczać konkretnymi projektami prowadzącymi do ich naprawy, a nie tworzeniem teorii siejących nieporozumienia i wykorzystywanych przez naszych wrogów.

Mam nadzieję, że odpowiednie czynniki zajmą się tymi sprawami, które są bardzo istotne i ważne dla utrzymania moralu żołnierza, narodu i przyszłości nas wszystkich.

Proszę przyjąć wyrazy szczerego szacunku i poważania.

Mikołaj Weliński

DLA JUNAKÓW

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Zgodnie z uchwałą Zarządu z dnia 25 stycznia 1943 r., Koło Opieki nad Żołnierzem wysyła jednocześnie następujące przedmioty, z prośbą o łaskawe przekazanie Komendzie Obozów Junackich na Wschodzie, a mianowicie: 75 sztuk książek, 8 paczek kolorowych ołówków, 6 tuzinów kolorowych ołówków, 12 pudełek kredek, 7 pudełek farb akwalerowych, 2 tuziny kajetów rysunkowych, 1½ lb plasteliny, 100 pocztówek z Matką Boską, 2 tarcze, 6 strzał, 3 skakanki, 3 Dart flights, 6 kartonów do wycinania tanków, 1 metalowe kółko-zabawka, 14 różnych wycinanek-układanek, 40 sztuk gier, układanek, narzędzi do wycinania, domino papierowe, warcaby, ping-pong, budownictwo, drobne książeczki do malowania i układanki.

Koło Opieki nad Żołnierzem

ZWIĄZEK ZIEM POŁUDNIOWO-WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Śladem powstałych na terenie W. Brytanii związków regionalnych i w myśl wezwania edynburskiego zjazdu Ziem Północno-Wschodnich z 3.X.1942 — powstaje Związek Ziem Południowo-Wschodnich.

Dnia 18.12.1942 r. powstał w Londynie Komitet Organizacyjny, którego zadaniem jest przygotowanie zjazdu i prace wstępne organizowania Związku. Uchwalenie statutu i wybór władz nastąpi na zjeździe ogólnym w Edynburgu.

Zgłoszenia należy kierować oraz w sprawach związanych z organizacją zjazdu i Związku zwracać się do Sekretariatu Kom. Org.: 45, Belgrave Sq., London, S.W.1.

Celem zorganizowania Zjazdu dla omówienia spraw aktualnych oraz założenia Związku, uprasza się wszystkich Ewangelików Polaków, wojskowych i cywilnych o podanie swoich adresów do Polish Publications Committee, 30, Hamilton Square, Birkenhead.

Tymczasowy komitet organizacyjny

Z życia obozów

Noc na lotnisku

Małe miasteczko w środkowej Anglii z katedrą na wysokiej górze pławi się w słońcu. Jest ciepło i duszno. Włóczymy się po miasteczku i szukamy czegoś do zjedzenia. Próżny trud, jest już po drugiej i wszędzie gdziekolwiek się wejdzie, słyszymy grobowe "*sorry*" czasem "*very sorry,*" lecz ubolewanie nie zmienia postaci rzeczy. Jesteśmy głodni. Dopiero dwie dobrotliwe kelnerki w café kinowym szepnęły nam w ucho, że zrobią co mogą. Pokazało się, że mogły wcale dużo. Ryba była pierwszorzędna, jajecznica z "*dry eggs*" znośna, herbata gorąca.

Wzmocnieni i w zupełnie odmiennych humorach poszliśmy na poszukiwanie autobusu. Autobus stał i czekał, niestety długo. Stopniowo napełniał się ludźmi, koszykami, paczkami, mięsem od rzeźnika. Dopełniła go generalnie konduktorka, o twarzy anioła, w aureoli złotych włosów i kalibrze otyłego zapaśnika ciężkiej wagi.

W stanie nieco potrząśniętym lądowaliśmy na szosie przy lotnisku. Meldowanie, przywitania, uściski, wymiana: "a gdzieżeś ty teraz?", "co z tobą," "kopę lat" oraz zaproszenie na piwko. Otacza nas od razu cudowna atmosfera, niezrozumiała dla tych, którzy w niej nie żyli, atmosfera otwartych przestrzeni i przejściowości, przesycona elektrycznością i czymś ogromnie natężonym, czymś czego ludzkimi słowami opowiedzieć nie można — atmosfera lotniska. Tu, na lotnisku operacyjnym, podniesiona jest do dziesiątej potęgi.

Zanurzamy się w nią z głową i od razu Londyn wydaje się niezmiernie daleki, nieistotny, jego troski mało wa ne, jego kłótnie nie na miejscu wobec szalonego wysiłku każdego z tych, których tu spotykamy. Sypią się od razu rasowe "*stories*" lotnicze, kolorowe, wspaniałe, wypointowane. Za te "*stories*" każdy dziennik zapłaciłby funtami, jednak nie wychodzą one na światło, gdyż było by to prostym świętokradztwem. Wiadomo: publiczność czytająca dostaje tylko ogryzki, reporter nie-lotnik nie usłyszy ich, ani nie zobaczy, reporter-lotnik nie odważy się napisać.

Mija popołudnie. Siedzę przy kominku w mieszkaniu jednego z dawnych przyjaciół i kolegów. Rozmawiamy, zaczyna się od polityki, a kończy się jak zwykle na wspominkach spraw, ludzi i rzeczy, które dawno uleciały w nicość nad lotniskami, których nazwy wymawiamy dziś z nabożeństwem: Dęblin, Okęcie, Mokotów, Kraków, Lwów, Lida . . . 11 pułk myśliwski, 6-ty, 2-gi . . .

Mrok zapada, na lotnisku zapalają się światła przy "*runwayach,*" motory zaczynają buczeć, niektóre grają urywanie, niektóre trwają w wysokiej pieśni pełnego gazu. Wychodzimy za dom, na pagórek. Przed nami — kontury maszyn, w każdym konturze światełko: światło orientacyjne na skrzydle. Wreszcie zaczynają rolować jedna za drugą, daleko błyska mały reflektorek startowego.

Koncert motorów wzmaga się, mocnieje, dźwięczy i zawodzi. Drga powietrze. Na niebie kładą się zorze. Pierwsza maszyna robi rundę nad lotniskiem, wysoko nad nią pierwsza gwiazda, Vega.

—Odchodzi na kurs — mówi mój towarzysz — wskazując na niebo.

Maszyna znika w ciemnościach południowego wschodu, następna kręci się nisko i robi jedną rundę za dużo, co wywołuje u mego przyjaciela lekki niepokój. Lecz i ona w końcu wchodzi na kurs. Powietrze dalej drga od motorów. Wszędzie w górze na jaśniejszych pasach nieba kontury maszyn. Wiele jest lotnisk w okolicy. Z wszystkich — maszyny dążą w jednym kierunku: Essen.

Gwiazd na niebie więcej, pomału hałas cichnie, już wystartowały wszystkie. Zaczyna się spokój, spokój najgorszy, sztuczny spokój wyczekiwania. Nikt nie położy się spać, chyba zmęczone załogi z poprzedniej nocy, może usną na godzinkę gdzieś w hangarze, w kącie mechanicy, lecz na długo przed spodziewanym powrotem będą już wypatrywali po niebie nad lotniskiem.

Buchają w górę światła reflektorów kierunkowych. Wszędzie pod chmurkami widać ich srebrne placki. Całe niebo jest podparte błękitnymi smugami, nikłymi, splecionymi jakby ze skoncentrowanej sztucznie poświaty księżycowej. Każdy placek na chmurze wygląda na księżyc, który skrył się za obłok. Dziwne to niebo pokryte ukrytymi księżycami, dziesiątkami księżyców.

—Jednak — nasze lotniska były przyjemniejsze — mówi mój towarzysz.

Były przyjemniejsze. Były pełne romantyzmu ze swymi białymi jak śnieg domkami i krzakami bzu przy domkach. Tu jest pusto. I nie ma zapachu zieleni. Pamiętam tak dobrze mocny zapach lotnisk polskich: wiosną i jesienią piżmo ziemi wierciło w nosie. Na wiosnę i w lecie przenikał powietrze słodki zapach macierzanki i schnącego siana. Było na tych lotniskach dobrze żyć i umierać. Też umierało się za nie chętnie . . .

Obiad minął. Czarna kawa w "*sitting roomie,*" niespodziewanie powracają dwie załogi.

—Głupia sprawa, wieżyczka tylna zacięła się, nie mogłem ryzykować wysokości. — Powracający są źli i zniechęceni. Zupełnie ma się wrażenie, że załoga składa się z ludzi, którzy spóźnili się na przedstawienie w teatrze, nie dostali biletów, i muszą wracać do domu. Napewno gdyby zesumować wrażenia każdego z nich dostało by się w rezultacie uczucie zepsutego wieczoru.

—Kiedy spodziewacie się powrotu?

—Jedenasta czterdzieści pięć pierwsza maszyna . . .

Koło jedenastej w kasynie podniecenie. Przerywają się rozmowy grup. Przyjechał generał Sikorski i jest w hallu. Rzeczywiście w hallu kilka mundurów "zielonych" na tle wielu niebieskich. Zielone mają strasznie dużo srebra, niebieskie ogromnie wiele pasków na rękawie. Tak dużo, że trudno zliczyć. W garderobie zawisły czapki z zygzakami i te z podwójnym złotym liściem dębowym . . . Po chwili podniecenia młodzież wraca do "*sitting roomu*" i zasiada na dawnych miejscach. Starszyzna pije w hallu piwo z Generałem. Koło pół do dwunastej wszyscy znikają. Idą na lotnisko.

Czerń nieba pokrajana reflektorami skierowanymi prostopadle ku górze. Teraz na ciemnościach pasy niebieskawych promieni są mocniejsze i bardziej cielesne. Skrzy się "*runway*" od świateł jak "Luna Park." Już zdaleka słychać pierwsze brzęki. Wracają. W pasach po obu stronach lotniska ciągłe głuche buczenia czteromotorowców. One też wracają, lecz lądować będą gdzieindziej.

Tajemniczy "*operation room*" znajduje się w budynku lepiej strzeżonym od skarbca banku Anglii. Wnętrze tej kuźni zdarzeń oklejone mapami, na których tajemnicze kreski, krążki kolorowe i paski mają swe określone znaczenie. Już "*intelligence*" dręczy pierwszych chłopaków. Opowiadają nerwowo, prędko. Są jeszcze w stanie bojowego podniecenia.

Generał Sikorski stoi pośrodku "*operation roomu*" i co chwila któryś z chłopców puszcza kantem "*intelligence'a*" i przystojną Waafkę, która z uroczym uśmiechem zapytuje: "*Have you met enemy aircraft?*" i podbiega do Generała. I raportuje. Wszyscy są uradowani, gdyż wyprawa udała się znakomicie . . . więc chcą się podzielić swymi wrażeniami z Naczelnym Wodzem.

—Panie Generale, panie Generale — woła chwytając Naczelnego Wodza za rękaw młody chłopak, podoficer — zestrzeliliśmy myśliwca . . . On go zestrzelił . . .

Pokazuje na małego strzelca o czarnej kręconej czuprynie.

—Jak to było? — pyta Generał zbliżając się do grupy, w której stoi strzelec — Pan go zestrzelił?

—Tak, Panie Generale — chłopak uśmiecha się i kraśnieje — Ale jak mamę kocham, przypadkiem. Zaatakował nas od przodu i mignął mi nad wieżyczką. Wsypałem mu trochę i — bardzo mi przykro, wykończył się nieboraczek . . . — kończy jakby ze wstydem.

—Rozsypał się jak pudełko zapałek . . . — mówi jeden za świadków.

—Tyś mi o zestrzeleniu zaraz nie powiedział — kłótliwie wrzeszczy ktoś z załogi . . .

—Jak mamę kocham, czasu nie było . . .

—Widziałem dwa spadochrony — twiedzi któryś — Niemcy wyskoczyli . . .

—Niech im będzie! — macha ręką znów inny, wysoki.

W tej chwili do pokoju wchodzi krępy siwy mężczyzna w "*battle-dressie,*" ze znakami "*group-captain*" /ranga pełnego pułkownika/. To komendant stacji, Brytyjczyk. Lubi latać z polskimi załogami . . . Jest zadowolony. Zwracając się do generała Sikorskiego stwierdza, że atak był "*very successful,*" jeden z najbardziej udanych z tych, w których brał udział . . .

Jeden z młodszych oficerów pochyla się do mnie i szepce mi do ucha:

—Ten *group-captain* to chłop taki . . . /tu nastąpił charakterystyczny ruch przedramieniem, że to niby tak jak żelazo/.

Sypią się wrażenia. Dyskusja z Generałem o jakości obrony przeciwlotniczej. Wszyscy zgadzają się, że w Essen obrona "jak cholera" i "giętka." Hamburg czy Wilhelmshafen to zabawka w porównaniu z Essen . . . Tam można znaleźć dojście i wyjście, ale nad Essen wejść można, ale wyjść trudno.

Generał Sikorski odchodzi z "*operation-roomu*" /zdaje się że "*intelligence*" przyjmuje to z westchnieniem ulgi, gdyż nie może "*boyów*" pytać, wszyscy grupują się wokół Gościa/. Generał obok w kantynie zaczyna pić herbatę i znów rozmawia. Młody Amerykanin polskiego pochodzenia popisuje się wcale dobrą polszczyzną. Wyuczył się jej dopiero w Wielkiej Brytanii, gdzie ochotniczo wstąpił do lotnictwa polskiego. Ma za sobą wiele lotów bojowych i chwali sobie bardzo wyprawę, jak i to, że jest między byczymi chłopami.

Pomału załogi odchodzą, jednak praca w "*operation roomie*" nie przerywa się. Dwa samoloty nie wróciły.

—No jeszcze nie ma powodu do obawy — mówi komendant polskiego lotnictwa bombowego, lecz wie już swoje. Za stary to lotnik, by nie miał przeczuć.

Za chwilę telefon: jeden z samolotów z rannym strzelcem wylądował na lotnisku na południu Anglii. Lecz o drugim nie ma wiadomości. Generał wychodzi i prosi, by mu dano znać, gdyby maszyna wróciła.

Pomału światła w "*operation roomie*" gasną, na lotnisku gaśnie "*runway.*" Tylko jeden samotny reflektor podpiera niebo. Nieruchoma kolumna światła, drzwi do domu i ścieżka znajoma, otwarta gościnnie — napróżno . . .

Idziemy przez puste drogi. Jeden z podoficerów zbliża się do mnie i mówi:

—Generał, powiadam panu, to chłop taki! — Widzę mimo ciemności kontur podniesionego ramienia . . .

Noc na lotnisku się kończy. Wszyscy śpieszą do domu, spać. Jutro znowu operacje. To co Generał myślał o spotkanych lotnikach, powiedział im nazajutrz, w czasie dekoracji krzyżami "Virtuti Militari." Wiem pozytywnie, że w czasie swej wizyty na lotnisku nie raz żałował, iż nie może podnieść ramienia i powiedzieć: "tacy powiadam wam." Niestety nie wypadało.

M. J. GORDON

Jaki pan — taki . . . pies

Kiedyś — gdy byłem małym chłopcem — lubiłem obserwować psy. Już wtedy dostrzegałem wyraźną różnicę między psem "urzędującym" w drzwiach sklepu rzeźnika, a psem adwokata z sąsiedniego domu. Wobec Burka, szelmowsko spoglądającego na moje "jedenastki," czułem paniczną obawę, z niekłamaną sympatią natomiast patrzyłem w zacne, przemądre oczy łagodnego Bernardyna, którego posiadaniem mógł się poszczycić nasz znajomy lekarz. Z czasem zrozumiałem, że psy przejmują cechy charakteru swych panów, że może być pies-stróż, pies-przyjaciel, pies-opiekun, pies-zabawka, pies-histeryczka.

Dziś, gdy podczas długiego pobytu w Szkocji poznaliśmy już kraj, mieszkańców i ich obyczaje — chciałbym poświęcić nieco uwagi psu, tak poczciwemu i drogiemu, jak drodzy i poczciwi są ci ludzie.

Ulica małego miasteczka. Idę z przyjacielem-Szkotem, gawędząc o tym i owym. Rozmowę przerywa nagle przyjacielskie "*Hallo — doggy!*", które rzuca mój przyjaciel przebiegającemu pieskowi. Rasowy Spaniel zatrzymuje się. Bez obawy patrzy na obcych. Ogon — organ psiej uprzejmości — uzyskał już potrzebną amplitudę wahań do wykazania pełni życzliwości.

Towarzysz mój ujmuje lekko za obrożę, odczytując na metalowej blaszce imię, nazwisko i adres właściciela. Nie ma obawy. Pies jest miejscowy. Odchodzimy, lecz troskliwy przyjaciel nie zapomina ostrzec samotnika: — "*Go home!*" Spaniel ogląda się. Aksamitne uszy, dotykające prawie ziemi, falują na prawo i lewo. Pies wie, że był uprzejmy, wie również, iż p o w i n i e n być uprzejmy. Bo nosząc na karku imię swego pana, nie może mu przynieść ujmy.

A oto psi lord. Duży brązowy wyżeł. Nie lubi chodzić bez pana. Wszakże, gdy znajdzie się sam na ulicy, zachowuje się godnie, poważnie, uroczyście. Nieświadomy — próbujesz go zaczepić, pogłaskać, zagadać. Wyraźnie go to żenuje. Tego rodzaju stosunek uchodzi w jego "pojęciu" za poufałość. Ogon porusza się bardzo powoli. Pies radby zostać sam. Zbytnia wylewność intruzów wydaje mu się nieuzasadniona. Po prostu . . . *shocking*!

Różne są życia koleje. Znalazłem się w szpitalu wojskowym. Po paru dniach, gdy gips na nodze dobrze już wysechł, pokuśtykałem na spacer. Na tle sąsiedniego pawilonu ujrzałem wcale wdzięczny widok. Na trawniku leżał spokojnie czarny *Scotch-terrier*. Ot taki sobie "Aberdeen," o śmiesznie krótkich nogach i szczecinowatej brodzie, dzięki której złośliwcy porównują go ze . . . szczoteczką do zębów. Kark przewiązany białą chustą-bandażem /czyżby ślady walki?/ Obok kość tak wielka, że przypominająca końską piszczel.

Pies rzucił niedbale na mnie jednym okiem, nie przestając drugim dozorować wciąż swej zdobyczy. Jakąż atrakcję mogłem przedstawiać dla niego ja, kaleka? Nawet pogonić mnie nie może, bo i do ucieczki nie jestem zdolny. Wszelako postanowiłem sprowokować leniwca.

Plując głośno na podniesiony patyk, a następnie nabierając rozmachu do rzutu, dokonałem swego. Pies porzucił "podudzie" i ze szczekaniem znalazł się u mych odnóży. Patyk zafurczał w powietrzu, a Mac /tak się bowiem nazywał/ już go dobiegał. Rozpoczęła się zabawa, znajomość, a potem przyjaźń.

rys. Marian Walentynowicz



Poczciwiec przywiązał się do mnie nie na żarty. W poszukiwaniu towarzysza potrafił wkradać się na wyfroterowaną salę szpitalną i leżeć obok mego łóżka, odczekując czas lekarskiej wizyty. Nie pomogły gniewy sióstr. Zwyciężyliśmy. Zawojowaliśmy angielski szpital: on — szkocki pies i ja — *Polish soldier*.

Najbardziej jednak wzruszającą psią przygodę przeżyłem kilka dni temu. Wybrałem się na motocyklową przejażdżkę. Kolega prowadził motor. Mijamy szkockie wzgórza, farmy, osiedla. Słońce — prawdziwie wiosenne — wyzłociło senny krajobraz. W żadnym chyba sercu wiosna nie budzi tyle wspomnień i nadziei, co w polskim. Trzęsąc się na niewygodnym siedzeniu, puściłem wodze myślom.

Nagle — rzuciło mną do przodu i nos mój znalazł się na masce pgaz. kolegi akurat w tym miejscu, gdzie znajduje się metalowe pudełko z maścią "Nr. 3." Pocierając nos, dostrzegłem morze baranich głów. Wełniane kożuchy podnoszą się za każdym ruchem stada, odsłaniając białe grzbiety. Owce tłoczą się bezradne na szosie, podbiegając, przystając, a nade wszystko becząc.

I nagle zjawia się pies. Zwykły owczarek. "Zwykły!" Spójrz mu w oczy człowieku — królu stworzeń! Jest w nich tyle niekłamanej troski, obawy, poczucia winy. Pies spogląda na nas, na motor, na owce. Szuka znamion wypadku. Wyrazem mądrych ślepi sumituje się gorąco, przeprasza, zapewnia i głosi najczystszą prośbę o przebaczenie: — "*I'm sorry, I'm awfully sorry*! Oto zdrzemnąłem się, rozmarzyło mnie słońce. Głupie owce wybiegły przez niedomkniętą furtkę. Czy jesteście Panowie *all right?*"

Zapewniamy pieska, że nic się nie stało. Po prostu głupstwo. Staramy się go pocieszyć, uspokoić — "*Don't be silly, we are quite safe!*" silimy się na jaką — taką szkotczyznę. Pies jeszcze nie dowierza. Ogląda nas, już nie tak trwożnie, lecz wciąż z pokorą. Puszysty ogon już nie ściele się po ziemi, już nabiera rozmachu.

Ale obowiązek wzywa do działania. Owczarek zabiega stadu od czoła, zawraca, skierowuje do furtki, strofuje. Jakoż droga wolna. Pies staje u furki. "*Good luck!*" rzuca nam w spojrzeniu. Poczem udaje się do owiec. Nie karze jednak sprawców zamieszania. Nie wydziera z gardzieli puszystej wełny. One są nieświadome, "*stupid.*" Wina obciąża wyłącznie ich stróża. A jego stać na pełne poczucie w ł a s n e j w i n y.

Bądź zdrów piesku! Dla nas nie jesteś zwykłym owczarkiem. Jesteś wprost niezwykły. Rozumiemy cię całkowicie i przebaczamy uchybienie my, Polacy, którzy sami zawiniliśmy tak wiele.

TADEUSZ ROJEWSKI

HELP FOR POLISH WOMEN AND CHILDREN

Probably the largest whist-drive held in Alyth Town Hall took place on 10th February when many Polish soldiers paid a special visit to Alyth to help at the Scottish-Polish Society's entertainment in aid of Polish women and children in Russia. Mr. A. G. Kinloch Smyth, President of Alyth Group, welcomed the company. Mr. J. McIntoch, secretary, acted as card master and later read out messages of goodwill from various Polish units. Colonel Wroblewski said that friendships started in Alyth had stood the test of time—in fact time had knit the bonds more closely. The total amount forwarded was £66.5.0. Thanks are due to Mrs. Lindsay, Mrs. McIntoch and Miss Wilkie, the conveners, and to Miss Todd and Miss Edwards, who acted as secretary and treasurer.

* * *

Kochany Redaktorze,

W załączeniu przesyłamy Money Order na kwotę £25 sh.13 i d.8 którą zebraliśmy za programy w czasie przedstawienia "Polish Panorama" w B. Prosimy o przekazanie serdecznego podziękowania PP. Oficerom i Szeregowym Delegatury Inspektoratu Polskich Sił Powietrznych za doskonałe zorganizowanie przedstawienia, pomoc w przeprowadzeniu zbiórki i wielką ofiarność.

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

Dear Sir,

Will you please find enclosed the sum of £25.13.8 for the relief of Polish children in Russia. We received this gift from airmen, soldiers, and civilians in Bl. . . .

Polish Forces Theatre "Lwowska Fala"

* * *

Nieprzyjęte honorarium za artykuł: "Na internowaniu" w nrze 5. £1.10.0.

A.M.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £7,851

W załączeniu przesyłam przekaz bankowy na kwotę £34.3.9 jako dochód z zabawy urządzonej dn. 3.3.43 z przeznaczeniem na pomoc dla sierót polskich wywiezionych z Rosji.

Dca Kompanii
mjr. lek. dr. B.

* * *

Według obietnicy załączam do listu 1 funta na "sucharki" dla biednych dzieci polskich w Rosji.

Z pełnymi wyrazami szacunku i poważania szczerze oddany.

Michał Królewicz

* * *

W załączeniu przesyłam przekaz na kwotę £9.16.7 /słownie: £ dziewięć, sh. szesnaście, d. siedem/ z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Pieniądze te zostały zebrane ze składek podoficerów i szeregowców III dyonu . . . P.A.Mot. w mies. lutym br.

Dowódca Dyonu
J. W. major

* * *

10 sh. /słownie: dziesięć szylingów/ na rzecz pomocy Polakom w Sowietach.

J.G.

* * *

Od pracowników polskiej YMCA za miesiąc luty 1943 £7.0.0.

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na sh. 15 d. 7½ /słownie: szylingów piętnaście, siedem i pół pensa/ zebranych przez studentów w St. Andrews na pomoc Polakom w Rosji.

P. Kręgielski

* * *

Zamiast przyjemności w dniu 27. lutego, przesyłamy £3 sh.8 na Pomoc Polakom w Rosji.

uczniowie VII. Kursu Kierowców Samochodowych /cztery podpisy/

* * *

Enclosed please find M.O. for £1 kindly given through Mrs. Ankerstein by Mrs. Renton, Secy. for Whytescauseway Baptist Women's Meeting, to the Polish Red Cross for the Aid to Poles in Russia Fund.

Senior Education Officer
Polish Forces P/90

Przesyłam 10 szyl. jako pomoc Polakom w Rosji.

A.Z.

* * *

Przesyłam sh.10 na pomoc rodakom w Rosji.

Marian Aleksander Strumieński

* * *

Anonimowo sh.3.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £152.5.7½ /słownie sto pięćdziesiąt dwa funty, pięć szylingów, siedem i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £7,851.1.9½ /słownie siedem tysięcy osiemset pięćdziesiąt jeden funtów, jeden szyling, dziewięć i pół pensa/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

DLA JUNAKÓW

5 sh. /słownie: pięć szylingów/ na zakup pomocy naukowych naszym Junakom na Bliskim Wschodzie.

J.G.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

10 sh. /słownie: dziesięć szylingów/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech.

J.G.

* * *

P. Zofia Leszczyc nieprzyjęte honorarium za artykuł w wys. 30 sh. ofiaruje na pomoc Jeńcom Polskim w Niemczech.

FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ Z NAJEŹDŹCĄ

5 sh. /słownie: pięć szylingów/ na Fundusz Walki Czynnej z Najeźdźcą.

J.G.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Za łaskawym pośrednictwem Panów przesyłam kilka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie.

Z poważaniem

W. Karwowska

Załączone: Eckersley: "A Modern English for Foreign Students." P. Benson: "Unknown Country." M. Kwiatkowski: "Rząd i Rada Narodowa R.P." St. Ordon: "Łuna nad Warszawą." R. Vansittart: "Czarny Rejestr." St. Majewski: "Jedenasty pancerny." J. Pomian: "Rzeczpospolita." E. Hinterhoff: "Moja odpowiedź." Dłużewski: "Droga do Polski." M. Arlen: "The Romantic Lady." E. W. Gilbert: "How the Map has Changed." N. Macmillan: "The Romance of Flight." T. W. MacCallum: "Nauka Angielskiego." R. L. Stevenson: "Treasure Island." "Marsz odwetowy." "The Battle of Britain." "1000 Słów po angielsku."

* * *

Do Redaktora "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam — dla żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie — następujące wydawnictwa:

1/ Potter: An English Grammar for Foreign Students; 2/ Linguaphone: Conversational Course. English oraz Słownik angielsko-polski do tego podręcznika; 3/ BBC at War; 4/ Polska w liczbach; 5/ Władysław Kiesielewski — Propaganda; 6/ Czesław Poznański — Federacja . . . ale jaka?

Łączę wyrazy poważania

Stefan Żurowski

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z poruszoną przez "Polskę Walczącą" sprawą zbiórki książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie chcę i ja się przyczynić małym udziałem w tym łańcuchu posyłając te kilka książek: "Ustrój Wielkiej Brytanii": W. A. Robson. — "Panny z Wilka" — Jarosława Iwaszkiewicza. — "Wiatr od morza" — Stefana Żeromskiego. — "Kamienica z czerwonej cegły" — K. Lipnickiego.

Z poważaniem

A. Koch

* * *

p. M. Płoszajska przesłała:

H. Sienkiewicz: "Ta trzecia." R. Umiastowski: "12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża." H. Martin: "Winston Churchill." "Prezydent Roosevelt przemawia" /przekład Krystyny Szerer/. R. Vansittart: "Czarny Rejestr." St. Ordon: "Łuna nad Warszawą." H. Półkozic: "Polak a przyszła Polska." Z. Kukulski: "Tak zwane public schools w Wielkiej Brytanii." Z. Bohusz-Szyszko: "Wrześniowym szlakiem." R. Górecki: "Z moich wspomnień o Józefie Piłsudskim." F. Sokołow: "Kawalkada Agielska." "Lotnictwo bombowe." "Bitwa nad Wyspami Brytyjskimi." "12 maja 1935." "Obrona Warszawy." "Dziennik Oficera Sztabu." "Co Słychać" 30 zeszytów.

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Tekst: RYSZARD POBÓG *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



Szpieg chciał haczyk odczepić
Z wielkim krzykiem i gwałtem—

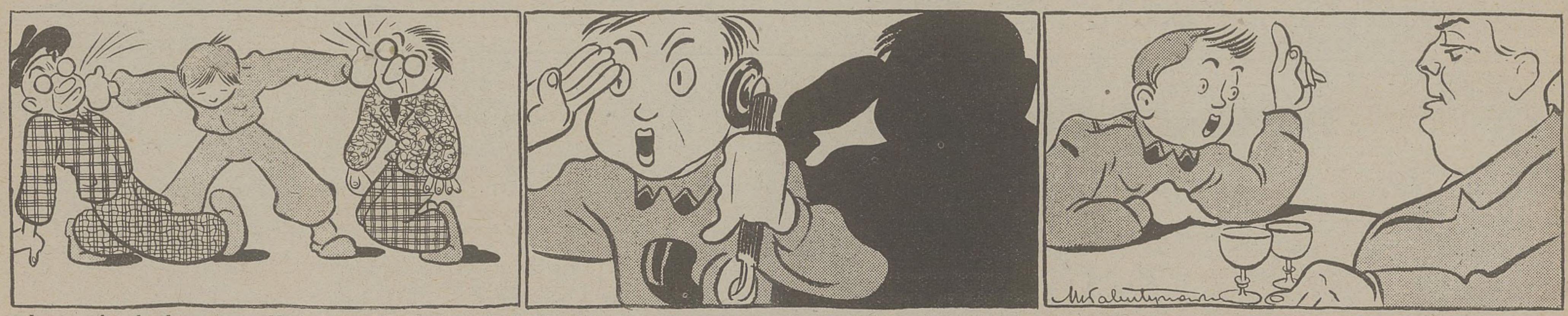
Lecz na szczęścia policja
Przyjechała swym autem.

Po południu tytuły
Były w pismach dość szumne:

"Polski żołnierz w New-Yorku
Złapał piątą kolumnę!"

Kto Ameryki nie zna
Niechaj sobie nie wierzy—

Żywcem chcieli rozerwać
Pompkę dwaj reporterzy.



Ja was—krzyknął—nauczę,
Pieska wasza, niebieska!—

No i obu rozłożył
Jednym ciosem na deskach.

Nagle ktoś się odezwał
"Hallo, boy"—w telefonie,

"F.D.R. ciebie czeka.
Jutro lunch w Waszyngtonie!"

Na tym lunchu z Rooseveltem
/To nie żadne są żarty/

Pompka stwierdził, że poprze
Atlantyckiej plan Karty.

SPIS RZECZY:

Zygmunt Nagórski, jr.: Lepsze jutro. — *Władysław Mirecki:* Straż na wybrzeżu /linoryt/. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — *Gustaw Kotkowski:* Listy z Argentyny. Z wizytą u Polaków w Missiones /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Lucjan Łagniewski:* "Nazywam się milion." — *Jerzy Faczyński:* Etiuda. — *Witold Wroński:* Pismo internowanych w Szwajcarii. — *Leopold Milanowski:* "Shepherds of the dinghies." — *Wiktor Budzyński:* Bez black-outu. — Skrzynka pocztowa. — Z życia obozów: *M. J. Gordon:* Noc na lotnisku. — *Tadeusz Rojewski:* Jaki pan, taki pies. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — *Ryszard Pobóg:* Przygody Walentego Pompki /rysunki *Mariana Walentynowicza*/. — Fotografie.

Komitet organizacyjny Zw. Zien Południ. Wschodnich oraz Zw. Zien. Półn. Wschodnich zawiadamiają, że dn. 14 marca 1943 roku /w niedzielę/ o godz. 11-tej w Ognisku Polskim, 45, Belgrave Sq., London, S.W.1. odbędzie się:

Uroczyste Zebranie dla uczczenia powrotu Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej do Polski.



URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH,
BUCKINGHAM PALACE MANSIONS, BUCKINGHAM PALACE ROAD, S.W.1.
Tel.: SLO 0081/2.
zawiadamia o wydaniu książki: A. M. Rusiecki i A. Zarzecki — ARYTMETYKA — /podręcznik dla III klasy szkoły powszechnej/ Str. 120. Cena 3/- sh.

Zamówienia można kierować bezpośrednio do Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych /Referat Wydawniczy/ załączając przekaz pieniężny.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.